ISSN 1897-1083

ECHA POLESIA

№ 3(71)2021

PRUŻAŃSKI PAŁACYK

WENIAMIN BYCZKOWSKI
I JEGO MUZEUM W BOBROWICZACH

KANAŁ OGIŃSKIEGO



Ojczyzna się zaczyna od tych pierwszych szlaków
mozolnie przez pokoju długość przepełzanych,
od woni pierwszych kwiatów, pieśni pierwszych ptaków,
od poznawania ludzi dotychczas nieznanych.
Idzie z tobą do płotu, do parku, do stogu,
rozciąga się na pole lub sklepik na rogu.

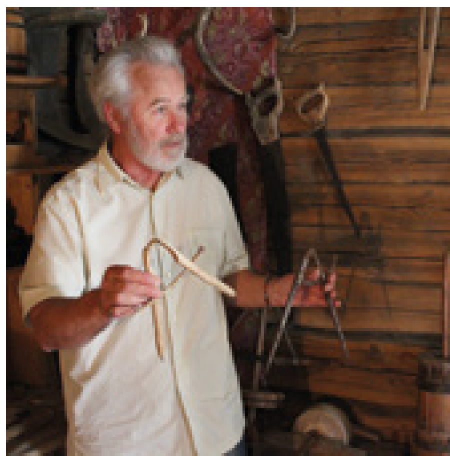
Ojczyzna rośnie z tobą, nabiera kolorów
gdy poznajesz z nazwiska wszystkich na ulicy,
gdy rozróżniasz miejscowe prawdy od pozorów,
gdy już nie ma dla ciebie żadnej tajemnicy
w tym co cjebię otacza, gdy spokojnie wierzysz,
że twoje miejsce jest właśnie tu, że należysz.

Z pomiędzy szkolnych książek zbrukanych okładek
dodajesz do ojczyzny co przed tobą było.
Wiesz już częmu moskiewski mundur nosił dziadek,
wiesz Kto leży pod wielką za lasem mogiłą.
Tak jak rosła vy przestrzeni, teraz rośnie w czasie
twa ojczyzna, twój obóz na ziemskim popasie.

I zanim się spostrzeżesz, zanim dorozumiesz,
miłość do stron rodzinnych zatrzaśnie kajdany.
Już jak ryba bez wody żyć bez nich nie umiesz,
jesteś glebae adscriptus, z ziemią powiązany.
Zapuściłeś w ojczyznę chwytliwe korzenie
i nic ich już nie wyrwie, nic cię nie wyżenie.

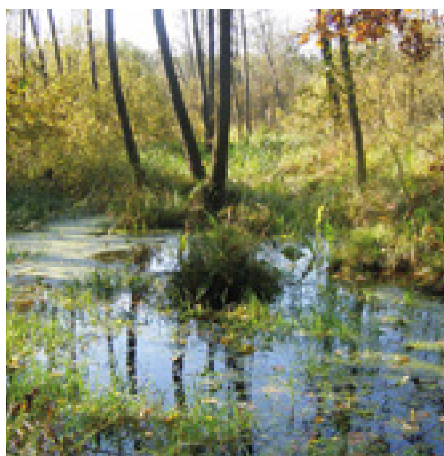
Zbigniew Kabata

SPIS TREŚCI







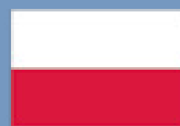


'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Polaków na Polesiu

Adres Redakcji:
e-mail: klub_polski@wp.pl

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2021





Projekt «Polska Platforma Medialna Wschód» realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja

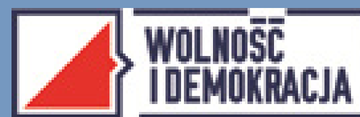


Foto na okładce
Andrzej Wasilewicz.



Zapraszamy do polubienia naszej strony na Facebooku
facebook.com/EchaPolesia
www.echapolesia.pl
www.polesie.org





DWOREK-MUZEUM «PRUŻAŃSKI PAŁACYK»

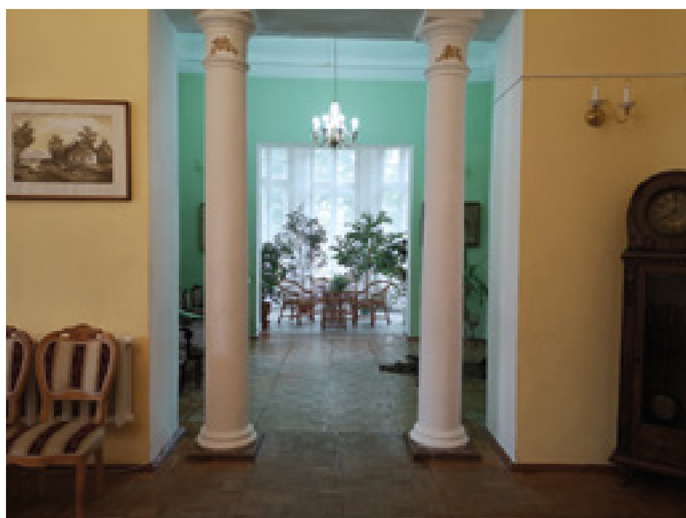
Muzeum «Prużański Pałacyk» znajduje się w unikatowym miejscu – w dworku szlacheckim, wybudowanym przez marszałka szlachty powiatu prużańskiego Walentego Szwykowskiego w połowie XIX wieku wg projektu mieszkającego wówczas w Warszawie włoskiego architekty Franciszka Marii Lanciego. Dworek przypomina włoską willę o nieregularnym kształcie, z jedno – i dwukondygnacyjnymi korpusami, licznymi tarasami i balkonami, półokrągłą werandą i dominującą nad całością bryły czworoboczną wieżą. Jest to jedyny na Białorusi, odrestaurowany renesansowy zabytek architektoniczny – siedziba szlachecka w stylu «modern», która w stanie nienaruszonym przetrwała do naszego czasu i zachowała swój oryginalny wygląd; gdzie można zobaczyć też, jak mieszkała szlachta na Białorusi w XIX wieku. Oprócz samego dworku, z dawnych zabudowań siedziby do naszego czasu zachował się także budynek oranżerii oraz większa część parku krajobrazowego.

O Walentym Szwykowskim (1817-1900), który włości prużańskie odziedziczył po swoim ojcu – Piotrze Szwykowskim (herbu Ogończyk) wiadomo jest, że był człowiekiem wielkiej erudycji i kultury. Ukończył uniwersytet w Dorpacie. Interesował się chemią i fotografią, rolnictwem i sadownictwem, hodował w oranżerii drzewa »»»


Rysunek J.I.Kraszewskiego













»»» cytrusowe, palmy i inne rośliny egzotyczne; posiadał obszerny księgozbiór, z którego często korzystał, odwiedzając swoje rodzinne strony Józef Ignacy Kraszewski; gościł tu m.in. także i Napoleon Orda, i Michał Fiedorowski, i rosyjski pisarz Nikołaj Leskow...

W 1841 roku Walenty Szwykowski ożenił się z Herminją Ważyńską, a w 1854 roku został wybrany marszałkiem szlachty powiatu prużańskiego. To właśnie zawdzięczając jego staraniom w Prużanie powstała poczta i biblioteka, a w pobliskiej wsi Dobuczyn wybudowano szkołę dla wiejskich dzieci. Niestety, za udział w powstaniu styczniowym 1863 roku, podczas którego W. Szwykowski poparł powstańców, jako marszałek szlachty przyczyniając się do utworzenia w Prużanie organizacji powstańczej, – majątek został przez carskie władze skonfiskowany. W. Szwykowski zostawiając w Prużanie swoją żonę, jest zmuszony udać się na emigrację do Belgii, gdzie przebywa przez cztery lata, po czym zdążył powrócić do Prużany oraz odzyskać majątek. Po powrocie całą swą energię poświęca na zbieraniu funduszy na budowę nowego kościoła w Prużanie, organizując bale charytatywne, literackie i muzyczne wieczory. Po śmierci żony natomiast jeszcze jakiś czas mieszka sam, ale w 1895 roku majątek sprzedaje hrabiemu Włodzimierzowi Klejnmichelowi i wyjeżdża do Warszawy, gdzie w 1900 roku umiera. Po śmierci został przewieziony do Prużany i pochowany na miejscowym cmentarzu katolickim razem ze swoją żoną.

Włodzimierz Klejnmichel podarował pałacyk swojej córce Wierze, która po rewolucji październikowej wyjechała do Paryża, majątek natomiast po niej odziedziczyła z kolei jej córka – też Wiera, z drugiego małżeństwa i zostawała jego właścicielką do 1939 roku, w Prużanie praktycznie nie przebywając.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego II RP budynek dzierżawiło od właścicielki, i było w nim powiatowe starostwo.





Po II Wojnie Światowej w pałacyku kolejno mieściła się kawalerka uczelni rolniczej, przedszkole, przychodnia dentystyczna....

«*Tylko wyobraźcie sobie,* – mówi o Walentym Szwykowskim Jurij Zielewicz, dyrektor muzeum w latach 2001-2020, – *wybudować taki pałacyk w takim zacofanym prowincjalnym miasteczku, jakim była Prużana w środku XIX w., to był sprzeciw wobec panującej szarości, wobec zacofania, wobec całego społeczeństwa, którego interesowały tylko handel i zyski. W tamtych czasach wszystko budowano ponuro. A tutaj taki nowatorski projekt, z elementami modernizmu i neorenesansu! I takie mam wrażenie, że przez dłuższy czas miasto «nie przyjmowało»* pałacyku, mentalnie, nawet w okresie II RP, także i w czasach sowieckich».

Remont i konserwacja budynku »»»

»»» rozpoczyna się w 1989 roku. Dopiero po 9 latach, zawdzięczając zaangażowaniu i staraniom miejscowej inteligencji, w 1998 roku przeniesiono tutaj regionalne muzeum krajoznawcze, które od tamtego czasu otrzymało nazwę «Dworek-muzeum «Prużański Pałacyk».

Koncepcja muzeum została opracowana przez grupę naukowców Brzeskiego Obwodowego Muzeum Krajoznawczego, – zakłada odtworzenie interierów i bytu XIX-wiecznej szlacheckiej siedziby miejskiej, na co przeznaczono część pomieszczeń pałacyku oraz historii i kultury prużańskiego regionu.

Zarówno całość budynku, jak też pomieszczenia wewnętrzne pałacyku zachowały swój układ oryginalny – na parterze np. przez F.Lanciego zastosowano popularną wówczas w Polsce amfiladę (szereg pomieszczeń połączonych ze sobą drzwiami umieszczonymi w jednej linii, co przy otwartych drzwiach stwarza efektowną perspektywę widokową).

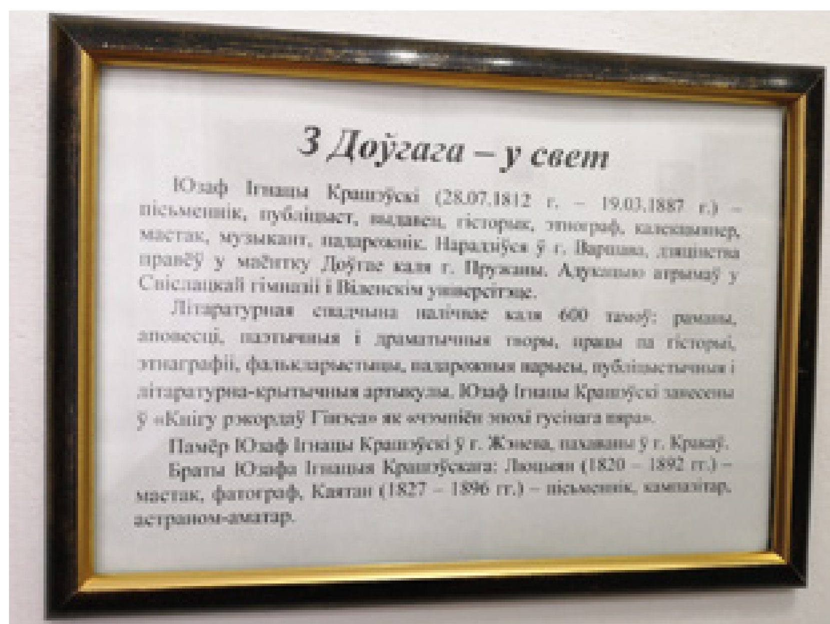
Obecnie na parterze muzeum odtworzono wystrój wnętrz salonu (sali balowej), myśliwskiego pokoju, oranżerii oraz sali kwiatowej, – zobaczyć tu można oryginalne przedmioty z minionej epoki: meble, kominek, fortepian, zegar, obrazy i inne, które na co dzień towarzyszyły i były charakterystyczne dla XIX-wiecznego bytu szlacheckiego. Otwarto także trzy sale wystawowe przeznaczone na zmieniające się cyklicznie ekspozycje – prezentowanie różnych kolekcji z zasobów muzealnych, personalnych wystaw prac malarskich i ludowego rzemiosła. Trwają dalsze prace nad stworzeniem Sali Herbowej, małego saloniku i inne.

Większość pomieszczeń piętrowych przeznaczonych jest na stałe ekspozycje, poświęcone ludowemu rzemiosłu ziemi prużańskiej. Są tutaj unikatowe kolekcje znanej od XVI wieku słynnej czarnej polewanej ceramiki prużańskiej oraz ceramiki różańskiej, bogate kolekcje rękodzieła ludowego i bytu wieśniaków. Osobne pomieszczenie «Mieszczański byt» przeznaczone jest na pokazanie bytu mieszczan z okresu XX-lecia II RP, osobna też sala poświęcona jest ekspozycji prawosławnych ikon nieznanych autorów z okresu końca XVIII – początku XX wieku.

Na dzień dzisiejszy zasoby muzealne «Prużańskiego Pałacyku» liczą ponad 7 tysięcy eksponatów, włączonych do 38 różnych kolekcji. Przy tym warto zaznaczyć, że większość tych przedmiotów muzeum otrzymało w darze od mieszkańców prużańskiego regionu oraz innych zakątków Białorusi i z zagranicy.

Na osobną uwagę zasługują unikatowe kolekcje muzealne poświęcone słynnym ziomkom, jak np. światowej sławy pisarzowi Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu i śpiewakowi operowemu Michałowi Zabejdzie-Sumickiemu, artystce-malarce Elenie Łoś, tłumaczowi białoruskiemu Wasylowi Siomusie, literatowi Mikołajowi Kuprejowi, artyście-filozofowi Mikołajowi Tarasiukowi i innym.

Od czasu powstania muzeum w «Prużańskim Pałacyku» tutaj zawsze tętniło życie: licznie zwiedzający muzeum prużaniacy i goście z innych regionów Białorusi i zza granicy, ciągle zmieniające się wystawy, imprezy kulturowe, konferencje naukowe, – to spowodowało, że «Pałacyk» w minionym okresie stał się nie tylko ważnym obiektem





turystycznym na mapie regionu, lecz także prawdziwym centrum białoruskiej kultury. Zawdzięczamy to przede wszystkim oddaniu i pasji pracowników muzeum, a szczególnie jego b. dyrektorowi Jurijowi Zielewiczowi, który tak wspomina swój okres pracy w «Pałacyku»:

«Chyba taki los był mi pisany... Od dziecięcych lat mieszkałem w Prużanie w pobliżu pałacyku razem ze swoimi rodzicami. Jako nastolatek jeszcze bawiłem się tutaj z rowieśnikami w latach 80-tych, bawiąc się, a przy okazji penetrując pałacyk od piwnic do wieży po tym, jak wyjechała stąd przychodnia dentystyczna i stał opuszczony. Po studiach, jako nauczyciel geografii i biologii powróciłem do Prużany. Aż nagle – propozycja pracy w «Pałacyku» – najpierw zgodziłem się na pół etatu jako malarz, następnie praca w charakterze naukowego pracownika, a w 2001 roku zostałem dyrektorem muzeum.

I tylko teraz zaczynam rozumieć, że kiedy przyszedłem do pracy do pałacyku, to on, właściwie jego swoista energetyka, duch jego twórcy i właściciela, pociągnęła mnie do kontynuowania rozpoczętej przez W. Szwykowskiego pracy, realizacji jego idei i zamierzeń, który budując pałacyk zakładał, że będzie on nie tylko architektoniczną ozdobą Prużany.... I faktycznie, – wszystko, co my robiliśmy, robiliśmy z sercem, dla miasta, dla ludzi, ... by każdy, kto do nas przyjeżdżał albo przychodził, chciał znowu tu wrócić...»

– I tak też się stało. Swoistym «brendem» pałacyku stały się np. autorskie wieczory i spotkania z wybitnymi ludźmi naszego czasu. *«Podtrzymywaliśmy ścisłą współpracę z magazynem «Arche», z Sergiuszem Bochunem, – opowiada dalej Juryj, – częstym naszym gościem był znany historyk i pisarz Włodzimierz Arłow, zawdzięczając przyjacielskim stosunkom ze Zmicierem Nazarowym występował u nas Zmicier Wajcuiszkiewicz, także białoruski kultowy zespół «Relikt», bard Andrzej Mielnikow i inni.*

Bez wątpienia, nie można pominąć organizowaną corocznie imprezę «Recha DACHu», na którą przyjeżdżali do nas artyści i twórcy ze wszystkich zakątków Białorusi. Tę imprezę organizowaliśmy wspólnie z art-zespołem «Mechaniary kultury», na czele z artystami Alesiem Rodzinym i Zmicieram Jurkiewiczem.

Od 2015 roku zaczęliśmy coroczną organizację malarskich plenerów, i jestem bardzo wdzięczny losowi, że poznałem tak wybitnych artystów i cudownych ludzi, jak profesor Akademii Sztuk Pięknych Eugeniusza Szumiejko, jak wiadomo i cenionych białoruskich artystów-malarzy Andrzeja Łyczkowskiego, Fiodora Ładućko, Wasyla Gryniewicza, Kazimierza Kuleszę, rodzinę Stacenków ze Słonimia, Tatjanę Zdaniewicz, Anatola Maraziuka i innych. – Przejście bowiem na etap plenerów, dla każdego muzeum jest bardzo ważne....» (cały wywiad z J. Zielewiczem jest na stronie: https://vb.by/society/history/vajna-palaczykam.html – red.).

Biały, cudowny i wzniosły pałacyk więc jest nie tylko wizytówką i architektonicznym zabytkiem Prużany, nie tylko cieszy oko mieszkańców i gości miasta... Natomiast otaczający jego piękny i zadbany stary park z mnóstwem cienistych alei, z kanałami, mostkami i ławeczkami – jest i pozostaje ulubionym miejscem wypoczynku prużaniaków.

TEKST I FOTO ANNA GODUNOWA

ПРЫЦЯГНЕННЕ ПАЛАЦЫКА

Палацык, здаецца, быў яму «наканаваны». Побач прайшло юнацтва: кватэра, дзе яны жылі з бацькамі, – у 500 метрах ад гэтага цуда архітэктуры, адзінай на сёння, як паведамляе Вікіпедыя, адноўленай сядзібы стылю мадэрн у Беларусі.

ЮРЫЙ ЗЯЛЕВІЧ ПРАЦАВАЎ ДЫРЭКТАРАМ МУЗЕЯ-СЯДЗІБЫ «ПРУЖАНСКІ ПАЛАЦЫК» 20 ГАДОЎ. У СНЕЖНІ 2020 Г. ЁН, ЯК І ШМАТ ХТО З ІНТЭЛІГЕНЦЫІ, ВЫМУШАНЫ БЫЎ ПАКІНУЦЬ ПРАЦУ «ПА ДАМОЎЛЕНАСЦІ БАКОЎ».

...У 1980-х падлеткамі лазілі з сябрамі ў вежу за галубамі, даследавалі скляпенні. Адсюль толькі што з’ехала стаматалагічная паліклініка, якая тут месцілася на час рамонту...

Пасля заканчэння універсітэта будучы настаўнік геаграфіі і біялогіі вярнуўся на Пружаншчыну... І раптам: «Набіраюць людзей у музей». Паўстаўкі мастака з далейшай перспектывай, праца навуковым супрацоўнікам, а з 2001 г. – дырэктарам музея-сядзібы. Калі сябры зараз прапаноўваюць: «Паехалі ў Маскву, будзе у цябе свая выставачная зала», кажа: «Якая Масква?... Я тут патрэбны».

Ён расказвае пра палацык, які не хоча яго адпускаць....

ПРА ФЕНОМЕН ПАЛАЦЫКА

«Пабудаваць такі палац у сярэдзіне XIX ст., ды яшчэ ў такім горадзе, як Пружаны, які выглядаў тады заштатным (хоць насамрэч і не быў такім) – гэта выклік грамадству і пануючай шэрасці. Выклік гаспадара Валенція Швыкоўскага, маршалка Пружанскага павету, які выбраў праект італьянскага архітэктара Францішка Ланчы. У той час усё будавалася панура. А тут – наватарскі праект з элементамі неарэнесанса, мадэрна. Культура такіх палацыкаў пайшла з Нямеччыны, але чамусьці не затрымалася на архітэктурным «Алімпе». Швыкоўскі нібы «ухапіў» яе за хвост і пабудаваў.

Гэта быў смелы крок насуперак культурнаму асяродку, і не толькі Пружанаў. Такое ўражанне, што горад не прымаў палацык. Ментальна. Так, ён удала спалучаецца з рэльефам і забудовай горада і застаўся такім, якім яго пабудаваў гаспадар: яго не бамбілі, не зносілі вежу... Але стаўленне заўсёды было дзіўнае.

Калі апошнія гаспадары Клейнміхелі з’ехалі, яны аддалі яго ў арэнду павятоваму старосту. Мы бачым на фотаздымках, што яго не даглядалі, проста эксплуатавалі. Увогуле, ставіліся як да «буржуазнай архітэктуры». Пасля вайны некалькі гадоў (1944 – 1947) гг. будынак стаяў без шыбаў, нехта часова жыў там. І гэтая сітуацыя з незразумелым выкарыстаннем будынку была недзе да пачатку 60-х гадоў: інтэрнат агратэхнічнай школы, сталоўка... Дзіўна, паколькі «перліну Пружан» можна было выкарыстоўваць як аб’ект адукацыіі, выхавання людзей прыгажосцю.

Дзесць за пяць гадоў да развалу Савецкага Саюза, уладам прыйшла думка зрабіць там Дом піянераў. Калі ў 1989 г. пачалася рэстаўрацыя, большая частка праектаў (размеркаванне пакояў, электрычнасць і г.д.) была зроблена менавіта пад піянерыю.

У 90-я гады на хвалі адраджэння мясцовая супольнасць адстаяла палацык для іншых метаў. Мяркую, гаспадар Швыкоўскі, калі будаваў яго, разлічваў, што той будзе не толькі ўпрыгожваннем горада.

Белы, цудоўны, узвышаны Палацык у свой час стаў своеасаблівым «выхавацелем» горад, дзе першапачаткова ўсе было заснавана на гандлі і матэрыяльных адносінах... Нарэшце з’явіўся культурны імпульс.

Толькі зараз разумею: калі я прыйшоў у палацык, ён з уласцівай энергетыкай наклаў на мяне адказнасць працягваць гэтую справу. І сапраўды, усё, што мы там рабілі, рабілі для горада, для людзей».

ПРА УЛАДЗІМІРА АРЛОВА, «РЭХА ДАХУ» І ПЛЕНЭРЫ

«У Палацыка адметная духоўная акустыка, энергетычны струмень унутры.

Людзі, якія прыязджаюць, хочуць сюды вярнуцца зноў.

У Палацыку заўсёды былі рады ўсіх сустракаць, там пастаянна ладзіліся творчыя сустрэчы. Мы падтрымлівалі цесныя сувязі з рэдакцыяй часопіса «Arche», з Сержуком Бахуном.

З задавальненнем адклікаўся на нашы запрашэнні пісьменнік Уладзімір Арлоў. Першы раз ён прыязджаў з прэзентацыяй выдання «Імёны свабоды», сярод якіх – і пружанцы Рыгор Шырма і Станіслаў Жукоўскі.

Дзякуючы сяброўству з Зміцерам Назаравым («Зала чакання») быў некалькі разоў Зміцер Вайцюшкевіч, выступаў з акустыкай мегакруты беларускі гурт «Re1ikt».

Падчас імпрэзы, прысвечанай Дню роднай мовы, спяваў у нас бард Андрэй Мельнікаў. Зараз глядзім анлайн-канцэрты «Годныя песні», «Песні побач» і іншыя... – усе гэтыя артысты ў розны час былі ў Палацыку.

І, безумоўна, трэта ўзгадаць пра знакавае мерапрыемства – штогадовы фэст эксперыментальнага мастацтва «Рэха ДАХу» на які збіраліся творцы з усіх куткоў Беларусі. Мы яго наладжвалі разам з арт-суполкай «Механёры культуры» на чале з мастакамі Алесем Родзіным і Зміцерам Юркевічам.

Таксама нельга абыйсці сяброўства з Уладзімірам Серафімавым і яго брэсцкім гуртом «САДЪ», якія былі заўсёднікамі сценаў палацыка. Фан-вечарыны з іх удзелам былі незабыўнымі.

З 2015 года мы праводзілі пленэры. Я вельмі ўдзячны лёсу за знаёмства з цудоўнымі людзьмі з арт-суполкі «Абуджэнне» – прафесарам Акадэміі мастацтваў Яўгенам Шумейкам, выдомымі беларускімі мастакамі Андрэем Лычкоўскім, Фёдарам Ладуцькам, Васілём Грыневічам, Казімірам Кулешам і сям'ёй Стацэнкаў са Слоніма, Таццянай Зданевіч, Анатолем Маразюком... Яны прыехалі першы раз менавіта «на Жукоўскага»: пяць год таму, да юбілею мастака, у нас ладзілася выстава з фондаў Нацыянальнага мастацкага музея. Мастакі прыехалі, зладзілі майстар-клас і адразу – пленэр на вуліцы... Палацык іх вельмі ўразіў... Летась у анлайн-пленэры бралі ўдзел восем мастакоў. Цудоўная выстава атрымалася, толькі, на жаль, з-за каранавірусу ўрачыстае адкрыццё не праводзілі.

Пленэр – гэта падзея, і не толькі для горада. Пленэраў, насамрэч, праводзіцца не так шмат у краіне. Уявіце толькі: мастак стаіць і малюе той будынак, міма якога ты, можа, тысячу разоў праходзіў і не звяртаў цвагі. А мастак бачыць усё ў іншым колеры. Толькі дзякуючы яму, ты разумееш: я ж жыву каля Белых радоў, гэта ж наша каштоўнасць!

З іншага боку, пленэр – гэта, даруйце, альтэрнатыўны варыянт папаўнення мастацкіх фондаў: некаторыя мастакі перадавалі нам увогуле ўсё, што паспелі намаляваць – за што ім сярдэчная падзяка. Мастацтва заўсёды можна паказаць... Пераход на ступень пленэраў – важны музейны крок».

ПРА РАМОНТ

«Рэстаўрацыя ў 1989-1998 гг. – гэта насамрэч не рэстаўрацыя, а я бы сказаў (не хочу нікога пакрыўдзіць, але ..) – няхайны рамонт: прыступкі лесвіцы былі пафарбаваны проста па плямах тынкоўкі, са сцен адвальваліся кавалкі, столь у трэшчынах, з праблемамі розных камунікацыяў «выявалі» штогод.

У 2003 г. палацык рамантавалі, але пераважна звонку. У будынку няма гідраізаляцыі. Цокальны паверх не выкарыстоўваецца, там толькі ў двух месцах ёсць скляпенне. Вільгаць разбурае штукатурку, спробы скарыстаць розныя матэрыялы не далі належнага выніку. А каб зрабіць гідраізаляцыю будынка, патрэбны дзясяткі тысяч долараў.

Палацык – у чаканні капітальнага рамонту. Дах апошні раз фарбавалі ў 1996 г. За чвэрць стагоддзя фарба паспела ўся аблезці. Знаёмыя часам прапаноўвалі зняць прэзентацыйны фільм з квадракоптэра. Але ж сорамна было...

Пяць гадоў таму было праведзена абследаванне будынка для рамонта: мы хацелі ўключыцца ў трансгранічны праект. На жаль, заяўка не прайшла, бо, як растлумачылі на афіцыйнам узроўні, не былі выкананы некаторыя ўмовы: узніклі нечаканыя праблемы з праектна-каштарыснай

»»»

»»» дакументацыяй, экалагічнымі экспертызамі... Але ўласная я бачу прычыну ў іншым: праект праігнаравалі людзі, якія маглі дапамагчы. Атрымалася, што рэалізацыя праекту засталася патрэбнай толькі мне.

Па гаспадарску, думаю, сёння трэба штогод укладваць мінімум 10 тыс. даляраў толькі ў падтрыманне будынка. Не кажу ўжо пра іншае.

Дарэчы, напрыканцы 2020 года музею нечакана было выдаткавана на рамонт 29 тыс. руб. астаткавых сродкаў з бюджэту. Сёння там робіцца рамонт выставачных залаў, лесвіцы, мяняецца асвятленне. Што цікава, мы знялі аварыйную столь на другім паверсе, а там – трухлявыя дошкі і саламяныя джуты XIX стагоддзя – вось вам, зноў жа, тая «рэстаўрацыя».

ПРА КІТАЙСКІ ПАРК, ШЛЯХЕЦКУЮ СЯДЗІБУ І ВЯСКОВУЮ ХАТУ

«У 1999 г. музей-сядзіба «Пружанскі палацык» адкрыўся экспазіцыяй дэкаратыўна-прыкладнога мастацтва і народнай творчасці Кітая. І гэта стала падзеяй. У нас можна было паглядзець у мікраскоп на парк, намаляваны на рысавым зярнятку. Дэманстраваліся творы кітайскіх мастакоў з асабістай калекцыі пасла Кітая ў Беларусі: акварэлі, кераміка, ліццё, камяні... У дзень мы праводзілі да дзесяці экскурсій, сотні наведвальнікаў. Людзям было цікава проста зайсці ў будынак.

Потым адкрылі залу ікон (сёшня іх – больш за 40), этнаграфічную залу... Дзеля апошняй, ездзілі ў Лінова, дзе нам далі дазвол разабраць і перавезці хату 1923 года пабудовы. Вясковую хату склалі на другім паверсе. Спытаеце, ці ўдалае гэта спалучэнне: шляхецкая сядзіба і хата, вясковы побыт? На сённяшні дзень, вядома, спрэчнае пытанне, якое заслугоўвае ўвагі. Але адзін штрых: гаспадар палацыка Валенцій Швыкоўскі сябраваў з этнаграфістам і фальклярыстам Міхаілам Федароўскім, які вельмі паважаў усё «народные».

Зараз аснова экспазіцыі – «Шляхецкі побыт сядзібы XIXст.»: Салон, Кветкавая зала, Зімовы сад, Паляўнічы кабінет. Гэта погляд мастака на экспазіцыю, бо дакладных фотаздымкаў інтэр’ераў сядзібы няма, вядома толькі колькасць люстраў, прадметаў мэблі. Затое зараз мы ведаем, як выглядаў Валенцій Швыкоўскі. Яго партрэт знайшлі ў далёкіх родзічаў Швыкоўскіх... Дарэчы, у бліжэйшых планах было адкрыццё экспазіцыі, прысвечанай вядомаму земляку Юзэфу Крашэўскаму і залі пра гаспадараў сядзібы...

Хачу заўважыць, што асаблівая цеплыня будынка «на падкорцы» адчуваецца і дзякуючы вялікай колькасці комінаў. Хаця, ніводнай печы, на жаль, не захавалася. А калісьці яны былі ў кожным пакоі. Цяпер застаўся толькі адзін камін. Ёсць апісанне, што перад рэстаўрацыяй захавалася тры каміны ў здавальняючым стане: два чыгунных і адзін керамічны (які, дарэчы, я сам яшчэ памятаю). Але ж, «зарэстаўрыравалі»...

ПРА ШВЫКОЎСКАГА-НАТУРАЛІСТА

«Цудоўнай агранкай палацыка былі парк і аранжэрэя, якая размяшчалася ў флігелі, паўднёвы схіл даху якога быў калісьці са шкла...

Спадар Валенцій Швыкоўскі быў вядомым у рэгіёне наватарам, натуралістам і даследчыкам. Ён даследаваў глебу і праводзіў эксперыменты, нават вывеў гатункі чарэшні, заклаў вінаграднік...

Адметна, што яго сябар Міхаіл Федароўскі ў навуковым часопісе пісаў, што ў аранжэрэі Швыкоўскіх раслі тысячы раслін, у тым ліку стогадовыя фікусы, пладаносілі цытрусавыя, персікі. Падобнай аранжэрэі не мелі нават Радзівілы ў Нясвіжы...

Праз парк ідзе гідралагічная сістэма, ёсць ставок. Рэшткі некалі вялікага парка – два моцныя дубы перад будынкам, некалькі лістоўніц, ліпавая алея, клёны – яшчэ памятаюць цяпло рук першага гаспадара...

Адшліфаваць такую «перліну», як палацык, і надаць ёй бляск – гэтая праца яшчэ наперадзе».

АНТАНІНА ХАКІМАВА

NIEZNANY OBROŃCA TWIERDZY BRZESKIEJ

1 września 1939 roku hitlerowskie Niemcy zaatakowali Polskę. Po dwóch tygodniach od początku wojny niemieckie jednostki XIX korpusu dowodzone przez Heinca Guderiana stały już pod murami Twierdzy Brzeskiej. Obrońcy Twierdzy już zawczasu przygotowali się do obrony, – na jej wałach zostały wyryte okopy dla strzelców, urządzone stanowiska karabinów maszynowych, dział przeciwczołgowy i przeciwlotniczy; kilku czołgami zablokowano wszystkie bramy Twierdzy. Krwawe walki toczyły się w ciągu kilku dni. Trwał regularny ostrzał Twierdzy przez artylerię i lotnictwo niemieckie. Rankiem 17 września od strony Terespola do Twierdzy przedarły się części 76. pułku piechoty niemieckiej, jednak do tego czasu większość obrońców zdążyła opuścić Twierdzę w nocy z 16 na 17 września.



Do dnia dzisiejszego nie wiadomo dokładnie, ilu żołnierzy Wojska Polskiego zginęło podczas obrony Twierdzy Brzeskiej. Także nie wiadomo, gdzie zostali pochowani. Istnieje uzasadnione przypuszczenie – że większość z nich spoczywa na Cmentarzu Garnizonowym w Brześciu. – Zapewne jednak nie wszyscy.... Oto fragment wspomnień starszego szeregowego 45 Dywizji Piechoty, 2 Kompanii, 135 Pułku Piechoty Józefa Arnrajtera o walkach w Twierdzy Brzeskiej w czerwcu 1941 roku z książki Rostisława Aliewa i Ilji Ryżkowa pt. «Brześć. Czerwiec. Twierdza», Księga Druga, Część II: *«Zaczął kropić deszczyk, więc na swoich stanowiskach urządziliśmy okrycia z płaszczów. – Wojna stłumiła emocje żołnierzy, a zmęczenie dawało się już we znaki. Dwoje naszych żołnierzy ryło sobie okop pojedynczy, gdy natrafili nagle akurat na pochówek polskiego żołnierza z wojny 1939 roku. – Nawet mundur tego żołnierza był jeszcze w dobrym stanie... Jednak w tym okopie i pozostali, by sobie nowy nie robić....»*

Jakby na potwierdzenie tych wspomnień, po 79 latach od tych wydarzeń, na terenie Twierdzy Brzeskiej odnaleziono resztki żołnierza Wojska Polskiego. Być może jest to ten sam żołnierz ze wspomnień zawartych w książce, być może inny...

Otóż w kwietniu 2020 roku w lokalnych mediach brzeskich stało się głośno o pewnym wydarzeniu w Twierdzy. – Po tym, gdy jeden ze zwiedzających Twierdzę gości zwrócił uwagę na lisią norę, wykopaną w pobliżu północno-zachodniej (Bielskiej) Bramy i na kości ludzkie obok tej nory. »»»



Ekwipunek żołnierski, odnaleziony 14 kwietnia 2020 roku w Twierdzy Brzeskiej. Foto: Oleg Korolow

»»» W wykopie odnaleziono czaszkę człowieka, kawałek materiału koloru oliwkowego i guzik od munduru żołnierza WP wzorca 1936 roku.

Do miejsca tego mrocznego znaleziska wezwano przedstawicieli Komitetu Śledczego i milicji, przeprowadzono badanie terenu i zostały wykopane ludzkie szczątki. Oprócz wykopanego szkieletu człowieka odnaleziono umundurowanie żołnierskie: buty oraz pasek do spodni żołnierza WP wzorca 1931 roku, dwie ładownice na naboje, bagnet do karabinu «Mauzer» wzorca 1924/29 roku, portfel z dwoma banknotami o wartości 20 zł, monety o nominałach 50, 10 i 5 groszy, składany scyzoryk oraz kawałek papieru ze spisaną modlitwą.

Niestety, nazwisko tego poległego żołnierza pozostaje nieznane. Jednak zawdzięczając odnalezionym przedmiotom można odtworzyć przebieg tych dramatycznych wydarzeń. – W okopie po prawej stronie odnaleziono 120 łusek od wystrzelonych naboi, po lewej natomiast stronie – już tylko dwie całe paczki amunicji. Na prawym biodrze żołnierza znajdują się resztki tamującego krew bandażu. – Widocznie, zraniony w nogę żołnierz sam sobie zrobił opatrunek i walczył nadal. Na dnie okopu odnaleziono także zabezpieczenia od granatów ręcznych, które użył zapewne próbując zatrzymać forsowanie przez nieprzyjaciela rowu z wodą. Śmiertelne ranienie nasz obrońca otrzymał natomiast w wyniku trafienia w tył głowy ułamkiem pocisku artyleryjskiego (ew. bomby lotniczej), tzn. w trakcie trwania boju. W wyniku przeprowadzonej ekspertyzy sądowej ustalono, że wiek żołnierza był ok. 40-45 lat. I nie jest też wykluczone, że pochodził



Resztki żołnierza Wojska Polskiego, odnalezione 14 kwietnia 2020 roku w Twierdzy Brzeskiej. Foto: Oleg Korolow

on z miejscowych poborowych, mobilizowanych do Wojska Polskiego w 1939 roku.

Podobne znaleziska dają podstawę do przypuszczenia, że wielu poległych żołnierzy WP – obrońców Twierdzy Brzeskiej w 1939 roku, wciąż do tej pory może pozostawać na jej terenie, gdyż w swoim czasie zostali pozostawieni na miejscach, w których zginęli – zostali po prostu zasypani ziemią w swoich okopach. Na przykład, nie można wykluczyć, że staniemy się świadkami odnalezienia podobnych pochówków na wałach umocnień kobryńskich Twierdzy.

21 czerwca 2021 roku na Cmentarzu Garnizonowym w Brześciu odbyła się uroczysta ceremonia pochówku resztek dwóch żołnierzy, którzy zginęli podczas obrony Brześcia w czasie II Wojny Światowej. Były to resztki żołnierza WP NN oraz żołnierza Armii Czerwonej, który zginął podczas trwania operacji «Bagration» w lipcu 1944 roku. Resztki żołnierza Armii Czerwonej pochowano w mogile zbiorowej, gdzie spoczywa 69 żołnierzy tej armii. Resztki żołnierza WP pochowano na «polskiej dzielnicy» cmentarza.

Cześć jego pamięci!

IWAN CZAJCZYC
TŁUM. EUGENIUSZ LICKIEWICZ

WENIAMIN BYCZKOWSKI
I JEGO MUZEUM W BOBROWICZACH

Weniamin Byczkowski to znany pisarz, poeta, literat. Kawaler Międzynarodowego medalu imienia Adama Mickiewicza, laureat licznych konkursów literackich. Jego wielką pasją jest także krajoznawstwo, archeologia, mineralogia. Jest badaczem historii i kultury Polesia. Stworzył prywatne Muzem Krajoznawcze «Starosiele» w Bobrowiczach oraz szkolne muzeum w Telechanach



WIEŚ BOBROWICZE

Wieś Bobrowicze jest położona nad dużym Jeziorem Bobrowickim (947 ha). Brzegi jeziora są bagniste i niedostępne. W Bobrowiczach odkryto znaleziska archeologiczne potwierdzające obecność ludzi na tych terenach 10 tysięcy lat przed naszą erą.

Istniała tu kiedyś cerkiew ufundowana przez Ogińskich, lecz została zniszczona podczas pierwszej wojny światowej. W dwudziestoleciu międzywojennym wieś należała do gminy Święta Wola, województwa poleskiego, powiatu kosowskiego. Swoją siedzibę tu miała także parafia słowiańsko-katolicka pw. św. Jana Ewangelisty i św. Paraskiewy. W 1942 r. podczas akcji przeciwpartyzanckiej hitlerowcy w całości spalili wieś Bobrowicze wraz z mieszkańcami oraz sąsiednie wsie Kraśnica, Wiado, Tupczyce. Po wojnie zostały odbudowane tylko Bobrowicze. Wieś otaczają bagna, las, a w promieniu 11 kilometrów nie ma żadnych zabudowań, droga jest leśna. Na wsi nie ma ani sklepu, ani ambulatorium, mieszka w niej kilka starszych osób, a w okresie letnim – nieliczni działkowicze.

NIEBO NAD JEZIOREM BOBROWICKIM

Zapytałam Weniamina Byczkowskiego, jak znalazł się w tej dalekiej wsi, co sprowadziło go tu w 1995 roku. Weniamin Byczkowski mieszkał przedtem w górach Ałtaju, Tian Shan, Pamiru. Z literackiej nagrody, którą dostał w latach 90-tych, za wydaną książkę, kupił tu na odludziu niepozorny domek. «Przyjechałem kiedyś tu, na ziemie moich przodków, ujrzałem to niebo nad Jeziorem Bobrowickim ... I teraz nie potrafię bez tego nieba... Czyż jest gdzieś jeszcze takie czyste powietrze jak w tym dziewiczym miejscu?

Weniamin mieszka w sposób skrajnie ascetyczny.

Jedyny pokój w domu Byczkowskiego w Bobrowiczach – też jest muzeum. Oprócz łóżka, biurka, krzesła i kuchenki gazowej, są tu eksponaty: dwa kufry, koszyki, »»»



szufelki, dzwony i dzwoneczki, warsztat tkacki, nosidła, żelazka... Jest kilka eksponatów ze znanego postoju starożytnych ludzi kilka kilometrów stąd – z Wiado, kamienne groty, noże, kawałki naczyń i szkiełka.

Jest tu też duża kolekcja minerałów, a także kamieni, znalezionych na Wiado. «Kamienie dla mnie są żywe ... . Dla mnie kamień – to cały świat, skamieniała wieczność «Kamienie przynosi z Wiado, święte miejsce dla Weniamina, w którym czerpie energię, siłę, natchnienie. Tam , na Wiado, gdzie w neolicie mieszkali ludzie, żyje wieczność. Jak powiedział Weniamin «Coraz bardziej patrzę w stronę wieczności. Tylko tu cała mądrość życia staje się wzniosła i zrozumiała...Każda rzecz – im starsza, im starożytniejsza, tym więcej grzeje».

MUZEUM

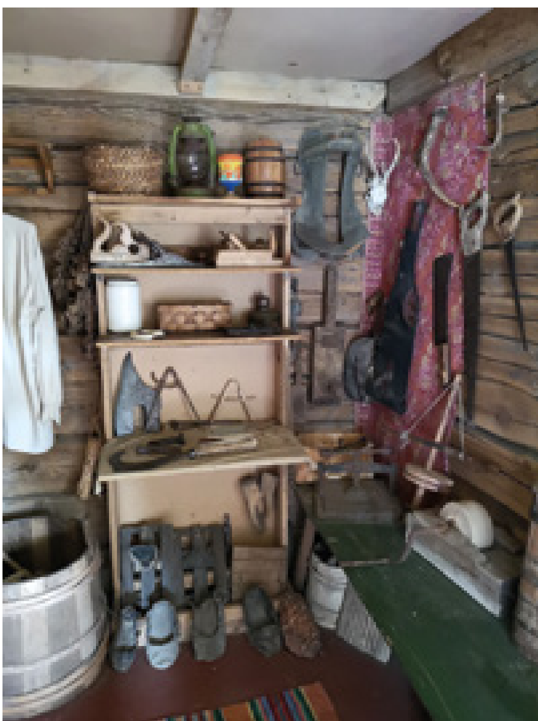
Specjalizacja muzeum – archeologia i etnografia Polesia. Cała kolekcja – kilkaset przedmiotów z czasów starożytnych i nie tylko. Największy eksponat – sam budynek muzeum, kiedyś chłopska stodoła .

– Dlaczego dla stworzenia muzeum wybrałem tę niepokaźną stodołę? Po pierwsze jest ona takiego samego rozmiaru jak i domy, w których mieszkali Poleszucy, – opowiada organizator muzeum, jego dozorca i















jedyny przewodnik Weniamin Byczkowski. – Były to nieduże zabudowania na filarach dębowych lub jak na przykład w powiecie kosowskim na głazach. Po drugie, wykonana jest zgodnie ze starożytnymi technologiami miejscowymi z ręcznie obrobionych belek drewnianych, w prosty sposób, ale solidnie. Poleszuk traktował swój dom tylko jako miejsce, gdzie można było schronić się przed niepogodą, przenocować, przechowywać narzędzia, sprzęt oraz zaopatrzenie. Większą część swojego życia pracował poza domem, w okolicznych lasach, polach, nad rzeką i bagnem.



Archeologia w muzeum – to odnalezione przedmioty na miejscu starożytnego miasta usposobionego nad brzegiem jeziora 10 tysięcy lat przed naszą erą. Kolekcja odzwierciedla w pewnym stopniu wszystkie epoki historyczne poleskiego kraju poczynając od głębokiej starożyności do naszych dni. Są w niej skrobaki krzemowe, fragmenty toporu i noża. Ze średniowiecza – groty strzał kuszowych, płytki strzelb krzemowych, monety. Rozkwit tego miasta przypada właśnie na średniowiecze. Wyrośnięta z grodziska miejscowość Wiado w ciągu kilku wieków była centrum wołości wiackiej, mówiąc językiem współczesnym – centrum rejonu. I jezioro wtedy miało nazwę Wiado. Był własny przemysł naczyń szklanych, kawałki których dzisiaj są eksponatami muzeowymi. Wśród eksponatów są kozuby.



Jeden z pokoi muzeum jest poświęcony etnografii Polesia. Wyobrazić byt «ludzi znad bagna» można na podstawie niedużego zakątku z obrazami świętych, ławką-łóżkiem, kufrem, warsztatem tkackim. Jeden z najstarszych eksponatów – łóżko żelazne, które ma ponad 100 lat. Oczywiście nie w każdym domu chłopskim był taki mebel, ale jednak zdarzał się. Tak samo jak wózek dziecięcy, który miejscowy specjalista zrobił w ten sposób sam, że z łatwością robiło się z niego kołyskę, którą podwieszano do sufitu chaty. Poleszucy potrafili upiększać jakby się wydawało na



pierwszy rzut oka rzeczy prozaiczne. Jest w kolekcji muzeum cudowny, a nawet na swój sposób wyszukany metalowy świecznik w



kształcie kwiatu. Twórcą jest nieznany kowal ze wsi Somino. A jeżeli przyjrzeć się skromnie umiejscowionemu w kącie kołowrotkowi, można zauważyć na jego obracającej się ramie koła po mistrzowsku stworzony wizerunek skrzypiec . Albo weźmy na przykład rybackie pławiki dla sieci zrobione z kory brzozowej. Dzisiaj dla bezpośredniego użytku już nikt takich nie wykorzystuje, ale dla turystów są popularne jako pamiątki i breloczki.

W muzeum-chacie można zapoznać się z różnym sprzętem do pracy Poleszuka. Są tu nawet ręcznie zrobione przyrządy pomiarowe – cyrkle oraz linijki. Na honorowym miejscu – starożytny topór kuty sklut, którego używa się do obrabiania kłód, robienia belek. Jest on znacznie większy, niż zwykły topór, no i odpowiednio cięższy. Machać takim – ciężka praca.



Są także kozuby, wykorzystywane w przeszłości w pszczelarstwie – jednym z głównych zajęć Poleszuka. Służyły do łapania roju, który czasami wylatywał z ula. Kozub był naczyniem ekologicznym, wykonanym z kory brzozowej chroniącym dzikie pszczoły, by pszczoły nie zachorowały, by w dolnej części roju nie zginęły pod ciężarem.

A oto eksponat godny szczególnego opisu– zwraca naszą uwagę Weniamin Nikołajewicz na wiartarkę łukową wykonaną z kawałka metalowego pilnika, lin i kawałków drewna. – Takiego sprzętu jeszcze w starożytności używano, a ja go dostałem w prezencie od dawnego mieszkańca wsi, który wolał pracować z własnoręcznie zrobioną, a nie mechaniczną czy elektryczną wiertarką. Oszczędność i szacunek do wszystkiego co jest zrobione własnoręcznie, jest jak do istoty żywej – jedna z cech charakterystycznych Poleszuków. Mówię do dzieci, które bywają u mnie na wycieczce: «Proszę cenić stare rzeczy waszych dziadków i pradziadków. Nie wyrzucajcie ich, zachowajcie je jako relikwie. Niosą one pamięć waszych przodków. One was chronią».

W muzeum jest także część, poświęcona I wojnie światowej, gdyż linia frontu przez długi czas przechodziła przez kanał. Decyzją władz armii rosyjskiej mieszkańcy pobliskich wsi byli wysiedleni w głąb Rosji, był to dramat tysięcy poleskich rodzin. Wśród nich byli także dziadkowie Weniamina, których wysiedlono aż za Ural, gdzie on później się urodził.

Krajoznawca-entuzjasta planuje poszerzać swoje muzeum. Druga część zgodnie z pomysłem, będzie galerią prymitywnej twórczości poleskiej malowania świętych obrazów, haftowania, tkactwa itd. Obecnie żadne muzeum w republice nie posiada nic



podobnego. Stworzył także małe muzeum etnograficzno-archeologiczne w Szkole Średniej w Telechanach. Trudno uwierzyć, że te piękne inicjatywy realizuje człowiek, który przeżył śmierć kliniczną, od kilkudziesięciu lat żyje z poważnie uszkodzonym kręgosłupem, każdy jego dzień – to wyzwanie, to pokonywanie bólu, cierpienia, to walka o życie i zwycięstwo nad sobą.

KAPLICA

Zwiedziliśmy też stojącą obok muzeum drewnianą kaplicę zbudowaną przez Weniamina Byczkowskiego ku czci świętej męczennicy Paraskiewy Piątnicy oraz niewinnie zabitych mieszkańców wsi Bobrowicze, Wiado, Tupiczyce, Kraśnica. Kaplicę budowano 10 lat – w wielkim trudzie, wbrew obojętności mieszkańców wsi i miejscowych urzędników, wbrew wielu niesprzyjającym okolicznościom...

Zapytaliśmy, dlaczego właśnie pod wezwaniem Paraskiewy Piątnicy. Okazało się, że Weniamin przywrócił dawną tradycję. Podczas budowy w XVIII w. Kanału Ogińskiego Wielki Hetman Księstwa Litewskiego Michał Kazimierz Ogiński budował także we wszystkich wsiach poleskich, z których zatrudniał pracowników, cerkwie. I cerkiew, zbudowana przez niego w Bobrowiczach była ku czci świętej męczennicy Paraskiewy Piątnicy.

– We wrześniu 1942 roku naziści podczas akcji karnej spalili wsie wraz z ludźmi, zginęło 1335 osób. Po wojnie Bobrowicze odbudowano, pozostałe wsie nie, – opowiada Weniamin Nikołajewicz. – Często bywając w tamtych miejscach, przeżywając tę straszną tragedię postanowiłem stworzyć dzwonniczkę i zawsze w dniu 13 września dzwonić w dzwony. Po to by pamiętali. Budowałem w ciągu 10 lat. Najpierw sam, potem stopniowo dołączyli dobrzy ludzie, cerkiew i wspólnie udało się ten obiekt zbudować. W ciągu ostatnich trzech lat na nocną liturgię z 21 na 22 czerwca przyjeżdżają tu wierni, a 13 września w dzień



»»» kiedy spalono wieś Bobrowicze tutaj odbywa się duże nabożeństwo.

POMNIK PRZYRODY – BOBROWICKI DĄB NA MIEJSCOWYM CMENTARZU.

Jak mówi Weniamin Byczkowski, ten dąb liczy ponad 800 lat. Obok pozostały jeszcze dwa stare dęby. Było ich dużo dookoła cmentarza, ale mieszkańcy usunęli je niedawno – przeszkadzały im liście dębowe na grobach.... Tu, w tym miejscu, była kiedyś starożytna pogańska świątynia. Pod największym dębem zasiadał kapłan. Symbolem łączności świata ludzi i świata duchów były kolorowe wstążki. Odgłosy tej tradycji zachowały się na Polesiu do dziś na przydrożnych krzyżach.



WIADO

To nazwa polodowcowego jeziora oraz dawnej wsi w okolicach Bobrowicz. Należy do najwcześniej odnotowanej miejscowości na Polesiu, wymieniana była już w 1433 r. A w 1508 r. odnotowano ją jako ośrodek ważnej włości w testamencie ostatniego pińskiego księcia Teodora Iwanowicza Jarosławicza. Książe przekazał swoje dobra królowi Zygmuntowi Staremu, a ten podarował swej małżonce Bonie. Tu przypływa często kajakiem Weniamin Byczkowski, i tu opowiada o tej ziemi i losach jej mieszkańców. To też muzeum pod otwartym niebem. O tym miejscu tak napisał wielki podróżnik i mistrz Grzegorz Rąkowski «W miejscu dawnych zabudowań, po których nie został nawet najmniejszy ślad, rozciąga się prawdziwa piaszczysta pustynia.Uwolniony spod wiejskiej zabudowy i pokrywy roślinnej żółtozłoty piasek objął ostrów w swe władania, układając się w liczne fale i mini-wzniesienia, zmieniające konfigurację przy silniejszych podmuchach wiatru. Jedynie kilka nieco wyższych wzniesień na obrzeżach ostrowu porastają szorstkie trawy i wonne kwiaty. Znakomicie widać stamtąd jezioro i okoliczne bagna. Urody dodają krajobrazowi nieliczne grupki starszych drzew, rosnące na niektórych wydmach...» Stąd czerpie Weniamin swoje natchnienie, zdobywa od dziesiątków lat eksponaty do swojego muzeum. Jest on troskliwym kustoszem i stróżem tej ziemi, jej tajemnic, jej ciszy.

ALINA JAROSZEWICZ,
FOTO ANNA GODUNOWA



TRAGEDIA MIASTECZKA

Telechany byłyby głuchą wioską wśród lasów i bagien, gdyby nie energiczny hetman Polski Michał Kazimierz Ogiński, który rozpoczął wielkie dzieło – połączył Morze Bałtyckie i Morze Czarne.
W 1767 r. zaczęto budować, a piętnaście lat później statki popłynęły już kanałem wykopanym między rzekami Szczara i Jaselda. 53-kilometrowa droga wodna rozpoczęła się od północy w rejonie obecnego miasta Baranowicze, a kończyła się na południu w rejonie Pińska. Zaczęto łączyć główne bogactwo – las i na północ, i południe Europy. Jednocześnie wybudowano drogę łączącą Telechany ze Słonimem, Pińskiem, Wołyniem.

Telechany stały się miejscem, które przyciągało przedsiębiorczych ludzi. Dotarli tu zarówno kupcy i przemysłowcy, jak i robotnicy – Polacy, Litwini, miejscowi Poleszucy (mieszkańcy Polesia). I oczywiście polscy i litewscy Żydzi w poszukiwaniu lepszego losu.

Za hetmana wybudowano hutę szkła, tkalnię, a następnie fabrykę fajansu. Po kanale płynęły statki, przywożono i wywożono towary, rosła liczba kupców i rzemieślników, w tym żydowskich. Wraz ze zniesieniem pańszczyzny żydowscy lichwiarze i kupcy rozszerzyli zakres swoich działań na chłopów okolicznych wsi.

Na początku XX wieku Żydzi stanowili większość ludności Telechan. Działały trzy synagogi, chedery, szkoła żydowska. Dla prawosławnych była cerkiew, dla katolików kościół. Wszystko zgodnie z oczekiwaniami w prawowiernym miasteczku.

Napad Niemców 22 czerwca »»»



»»» 1941 zaskoczyło Armię Czerwoną. Jej opór był niezorganizowany, odwrót – rozproszony, ewakuacja ludności z pasa przyfrontowego odbywała się w panice. Sprzeczne wiadomości i plotki oszołomiły mieszkańców i niewielu zdążyło wyjechać na wschód.

Wkrótce do miejscowości wkroczyli Niemcy. Pierwsze polecenie niemieckiego komendanta dotyczyło tylko Żydów: musieli oni «na prawej stronie piersi i na lewym ramieniu nosić żółtą sześcioramienną gwiazdę. Spotykając Niemca, musieli zejść z chodnika na jezdnię, zdjąć nakrycie głowy i pokłonić się. Za niewypełnienie rozkazu było rozstrzelanie».

Następnie Niemcy stworzyli «czarną policję», nazwaną tak od koloru munduru. Wezwana do rzekomego utrzymania porządku, ta brutalna banda miejscowych bandytów i przestępców, chcąca służyć Gestapo, we wszystkim naśladowała jego metody i na dodatek ze szczególnym sadyzmem. Ze wspomnień mieszkańców: «Pewnego dnia policjant uderzył przechodzącą Żydówkę i leżącą we krwi, zmusił do zlizania kurzu z buta. A potem ją zastrzelił».

Niemcy, szyderczo, często zmuszali Żydów do wykonywania całkowicie bezsensownych ciężkich prac. Na przykład mogli wydać rozkaz pokrycia warstwą grubego piasku drogi do Żandarmerii. Czterech Żydów było wpychanych do dużych skrzynek wypełnionych po brzegi, przy czym każdy upadek lub spowolnienie karane było przez policjantów biciem rurami i kijami. Niektórzy padali martwi.

Chcąc upokorzyć ludzi do stanu bezsłownego zwierzęcia, policjanci na polecenie gestapowców zapędzili grupę Żydów do jamy z kałem w toalecie budynku byłego NKWD i zmusili rękami wyciągać zawartość.

W ciągu półtora miesiąca faszystowscy sadyści, a wraz z nimi czarnosetcy usiłowali



do woli znęcać się nad bezbronnymi Żydami. A 5 sierpnia 1941 r. do Telechan wjechała jednostka kawalerii SS.

Następnego ranka grupa żołnierzy konnych przyprowadziła do pułkownika pięciu Żydów – przedstawicieli społeczności. Wydany został rozkaz: «Mützen up!» – «Czapki z głów!». Pułkownik wyjął z teczki i odczytał im rozkaz: przed zmierzchem każdy żydowski dom musiał oddać sto kilogramów owsa dla koni i tysiąc dolarów. Niewykonanie rozkazu groziło rozstrzelaniem. Błagano, że rozkaz jest całkowicie niemożliwy, że nie mają i nie mogą mieć dolarów w takiej ilości, a niektórzy w ogóle nie mieli. Odpowiadano im obelgami i przekleństwami: «Raus, raus, judendreck» – «Won, won, żydowskie gówno!».

Faszyści postępowali tak powszechnie przed kolejną likwidacją. Po tych diabelskich rozkazach żołnierze SS, zabierając ze sobą członków kierownictwa wspólnoty, przeszukali dom po domu, konfiskując wszystko, co było cenne.

Następnego ranka esesmani nakazali wszystkim Żydom opuścić swoje domy. Ludzi wyrzucała «czarna policja» bijąc i zastraszając ich; najmniejszy opór, próba ucieczki, próba ukrycia dzieci kończyły się biciem do śmierci. Po wyrzuceniu wszystkich mieszkańców domu, policjanci sprawdzali, czy ktoś nie został. «Tu musi być jeszcze młoda Żydówka!» – czarnosetny z miejscowych wrócił do domu i wypchnął z biciem płaczącą dziewczynkę. Wszystkich Żydów Telechan i uchodźców zapędzono do baraków.

Wybierając młodych i zdrowych Żydów, naziści zmusili ich do wykopania długich, głębokich rowów o szerokości dwóch metrów. Następnie w grupach po sto osób wyprowadzano z baraków, stawiano i prowadzono do rowów.

Żydzi szli w strachu, z opuszczonymi głowami. Byli bici bez żadnego powodu. Reagowali tylko jękami, chowając »»»



»»» głowę przed uderzeniami. W jednej z kolumn szła dziewczyna o imieniu Esterka, wyróżniająca się białą sukienką i niezwykłą urodą. Szła z godnością, z wysoko podniesioną głową. Jej smukła sylwetka powodowała powściągliwość nawet u towarzyszących potworów: nikt nie odważył się jej dotknąć. Nagle do tej grupy kłusem podjechał oficer SS i gwałtownie zatrzymał konia. Żydzi odskoczyli z krzykiem, a z nimi i czarnosetcy. Ale Esterka nawet nie drgnęła, wręcz przeciwnie – jeszcze wyżej uniosła głowę, patrząc faszyście w oczy. Niemiec, nie mogąc znieść spojrzenia, dorwał broń i celując w czoło dziewczyny, strzelił. Głowa Esterki drgnęła, krew zalała twarz i upadła na drogę pokrytą pyłem. Niemiec uderzył konia i popędził jak szalony powtarzając: «Mein Gott! Mein Gott!» – «O mój Boże! O mój Boże!».

O tym, jak esesmani dokonywali masowego mordu ludzi, tego samego wieczoru cała wioska dowiedziała się od mężczyzn zmobilizowanych do pracy przy zasypywaniu dołów po rozstrzelaniu. Żydów w grupach zapędzano z baraków do dołów i zmuszano ich do zejścia po schodach do dołów. Układano ich w równych rzędach w poprzek dołu, twarzą do ziemi. Następnie po kolei z karabinu maszynowego rozstrzeliwano grupę. I tak kolejno, aż do wypełnienia każdego dołu. Dzieci zabijano inaczej: klęczały na skraju dołu, strzelano i wrzucano zwłoki do dołu.

Starannie, po niemiecku pedantycznie przeprowadzono planowaną operację SS mającą na celu eksterminację całego żydowskiego miasteczka o prawie dwustuletniej historii. Od tego dnia Telechany były już inne. Pułkownik odbierał raporty od oficerów, każdemu uścisnął dłoń, zabrzmiało głośno «Heil Hitler!». W ciągu dwóch dni jednostka kawalerii SS wymordowała w Telechanach 1900 Żydów. Uratowały się tylko trzy osoby. Razem uciekli do lasu, a następnie walczyli w oddziale partyzanckim.

Nie minie dużo czasu od pierwszych masowych morderstw, podobnych do katastrofy w Telechanach, a nazistowskie Niemcy będą zbierać złoto i wszystko, co może się przydać, aż do włosów ofiar zabitych w mobilnych komorach gazowych i spalonych w krematoriach obozów koncentracyjnych.

Ale na tym tragedie na Polesiu się nie skończyły. Rok później, 20 kilometrów od Telechan, faszyści wymordowali białoruskich cywilów czterech wiosek, gdzie żywcem spalili i rozstrzelali 1335 osób. W sumie na terytorium Białorusi z rąk nazistów poległo ponad 2 miliony niewinnych obywateli, a 186 wiosek spłonęło doszczętnie wraz z ludźmi.

WENIAMIN BYCZKOWSKI,
BOBROWICZE
TŁUM. RED.

MIESZKAŃCY TELECHAN, LATA TRZYDZIESTE XX WIEKU.

Foto z archiwum Weniamina Byczkowskiego















BOGDAN MIELNIK «MOJE TELECHANY»

WOJNA I JEJ OFIARY

W ciepłe sierpniowe dni 1939 roku, ludzie bez przerwy «wałkowali» tylko jeden temat. Wszyscy dorośli rozmawiali o wojnie. Dzieci słyszały o niej w domu, sklepie i na ulicy. Wojna i wojna. Teraz chłopaki bawią się już tylko w wojnę. Nawet mała Dobka Perelsztajnów łazi za swoim bratem Chamkiem i chce się z nami bawić. Chłopaki złoszczą się na małą i na Chaimka, który wtedy Dobkę wygania do domu. Dobka ryczy i bez powodzenia chce bić brata swoim małym karabinkiem. Oboje mają bardzo fajne karabiny, zrobione z gontowych deseczek. Wystrugał je na prośbę Chaimka jego starszy brat, Dawid.

Tadzik zazdrości im tych karabinów; bo sam nic nie ma. Jak zaczął strugać deseczkę na karabin, to strasznie zaciął się nożem w rękę i teraz nic nie może sam zrobić. Całą dłoń ma zawiniętą w płócienną szmatkę. Prosił brata Mun – dzika o pomoc, ale ten nie chce.

Ja mam karabin z prawdziwą, żelazną lufą. Tata kupił mi go na gwiazdkę w zeszłym roku. Mój karabin nawet strzelał z kapiszonów, ale kapiszony dawno się skończyły. Prosiłem tatę o kupno nowych, ale powiedział mi, że kupi kiedy indziej. Teraz są sprawy dużo ważniejsze od moich kapiszonów.

Rzeczywiście, dorośli teraz bez przerwy mówią o tej wojnie. Słychać wciąż Niemcy, Francja, Hitler... Kiedyś widziałem w jakiejś gazecie fotografię Hitlera. Taki jakiś. To wszystko jest dla mnie nowe, dziwne, ciekawe. Ciągle gdzieś słyszę, że wojna wisi na włosku. Kiedy pytam jak ona może wisieć na włosku, to dorośli odpowiadają, że tylko tak się mówi. To po co tylko tak?

Rodzice teraz kilka razy dziennie słuchają radia i wtedy mówią, żeby im nie przeszkadzać. Potem rozmawiają o tym, co usłyszeli. Wówczas mama często bywa zdenerwowana, a tata pali papierosa za papierosem. Mama mówi, że nad jej bratanicą Mureczką czuwał anioł stróż. Mureczka była w lipcu na wywczasach nad morzem, na Helu. Dobrze, że już jest w domu, bo gdyby nie daj Boże wybuchła wojna.

Teraz każdego wieczoru do późna siedzi u nas wuj Stefan. Mówi, że w naszym nowym radiu słychać lepiej jak w jego. Przychodzi też z wujem nieraz Mureczka, a nawet ciotka Mania. Wtedy wszyscy ciągle wołają, żeby dała słuchać radia. Bo ciotka teraz ciągle płacze, ponieważ boi się o swojego syna Stefcia, Ścioszyka. Jest mobilizacja i bardzo wielu mężczyzn biorą do wojska.

Ciotka nie wyobraża sobie, żeby Ścioszyka wzięli do wojska. Bo gdyby wzięli, to ona tego na pewno nie przeżyje.

Ja dziwię się temu, bo już dużo ludzi wzięli do wojska i z tego powodu jeszcze nikt nie umarł. Tak samo zapewne myśli wuj Stefan, bo kiedy ciotka zaczyna lamentować to pyta ją, czemu płacze. Boi się o Stefcia, czy ze strachu, że umrze. No to o swoje życie może być spokojna, bo Stefcia jako studenta, póki co, to nie zmobilizują.

Oprócz wujostwa, przychodzą do nas różni znajomi rodziców. Niektórzy z nich żeby posłuchać radia, bo w domu nie mają. Wszyscy siedzą do późna, piją herbatę z samowara, wielu pali papierosy taty. Chwalą, że dobre, egipskie. Czasem tata wyjmuje z kredensu którąś karafkę z nalewką i wszyscy też chwalą, że dobra.

Z tego, co mówią dorośli, ja rozumiem coraz mniej. O co właściwie temu Hitlerowi chodzi? Zapytany o to tata powiedział mi, że jestem jeszcze zbyt mały, abym zrozumiał tę całą okropność. Mama zamiast mi coś wyjaśnić, tylko jęknęła płaksiwie «oj synku». Z kolei Mureczka odpowiedziała, że mnie kocha i nie powinienem sobie tym główki zawracać. Pytałem także brata, co wie na ten temat. Odpowiedział mi, że na te sprawy jestem jeszcze za głupi. Ale brat też chyba jest

»»»

»»» jeszcze za głupi, bo jakby był mądrzejszy, to by mi wytłumaczył. Przecież mama często mówi bratu, że jako starszy, powinien być mądrzejszy.

Któregoś dnia tata poszedł na stację kolejki, żeby pożegnać się z jakimś panem, który został zmobilizowany i właśnie wyjeżdżał do wojska. Ja oczywiście, natychmiast powlokłem się za tatą. Był z tego mocno niezadowolony, ale w końcu zamilkł i nawet wziął mnie za rękę.

Już z daleka zobaczyłem przed stojącym na stacji pociągiem wielki tłum ludzi. Prócz mężczyzn z walizkami, kuferkami i tobołkami, było sporo kobiet z dziećmi w różnym wieku. Tata powiedział mi, że te kobiety odprowadzają jadących do wojska mężów i synów. Wiele kobiet płakało, najgłośniej te z wiosek, Poleszuczki. Płaczą i zawodząc załamując ręce, chwytają się oburącz za głowy. Mężczyźni pocieszają je, czasami przytulają do siebie. Niektórzy biorą na ręce swoje dzieci, mówią coś do nich, całują. Jeszcze inni, pijani, śpiewają zataczając się pomiędzy ludźmi. Tata powiedział, że to obrzydliwe. Może i tak, ale dla mnie śmieszne. Żołnierze, co pilnują porządku, to krzyczą na pijanych. Nasz sąsiad Łoziuk, który też jest pijany i też idzie do wojska, mówi, że z pijakami w koszarach zrobi porządek, bo on jest plutonowym.

Wreszcie wszyscy poborowi i ci trzeźwi, i ci pijani, załadowali się do wagonów kolejki. Kolejarz pan Jendza krzyknął «odjazd», lokomotywa gwizdnęła przeciągle i pociąg odjechał. Ludzie długo jeszcze patrzyli na malejący w oddali pociąg, który zanurzywszy się w leśny tunel, zniknął. Pozostała po nim tylko szara, rozpraszająca się smuga dymu z parowozu, snująca się pod lasem. Dopiero wtedy ludzie zaczęli rozchodzić się do domów. I znowu wszyscy rozmawiali o wojnie.

A wojna przyszła niespodziewanie. Rano przed pójściem do pracy, tata włączył radio, żeby wysłuchać wiadomości, które po chwili zaczęli czytać.

– Żeby go szlag trafił! – usłyszałem krzyk taty.

Nigdy nie słyszałem, żeby tata przeklinał. To też wyskoczyłem z łóżka jak z procy i wpadłem do saloniku. Zobaczyłem jeszcze znikające za drugimi drzwiami plecy taty. Tuż za mną pojawił się mój brat. W tym momencie z kuchni dobiegł nas głośny płacz mamy, zawtórowała jej nasza siostra Mundzia.

Błyskawicznie znaleźliśmy się ze Stefanem w kuchni. Tata przytulał do siebie mamę i Mundzię. Sam wyglądał tak, jakby i jemu zbierało się na płacz.

– Psiakrew, dopiero minęło dwadzieścia lat pokoju, a ten drań znowu... Czy tych Niemców nigdy, nic nie nauczy? – Głos taty wyraźnie drżał z irytacji.

Na Telechany spadła nienormalność jak jastrząb. Zakłóciła senną codzienność miasteczka. Ludzie zaczęli gorączkowo kupować różne towary, robić zapasy na wojnę. Kupowano naftę, sól, zapałki. Pan Brzostowski «Płaksa» miał pełne ręce roboty, bo wszystkim, którzy mieli świnie albo cielaka, on im ubijał, a ludzie robili kiełbasy, wędzonki i marynaty.

Z Pińska przestały kursować statki. W szkole pan kierownik Pierowski mówił nam, jak mamy zachować się, gdyby nadleciały niemieckie samoloty i puściły gaz. Jeśli ktoś nie ma przeciwgazowej maski, a pan kierownik też nie miał, to powinien zmoczyć chusteczkę i przycisnąć do nosa, żeby przez nią oddychać. Wtedy nie zatruje się gazem. Tatuś powiedział, że to bzdura. To kto tutaj ma rację? Najlepiej, żeby dorośli dogadali się ze sobą.

O wojnie było coraz głośniej, ale Niemcy gazu nie puszczali. Policjant pan Patek, chodził teraz cały dzień po miasteczku i ostrzegał wszystkich przed obcymi, bo to mogą być niemieccy szpiedzy. Pan Góźniczak powiedział, że kiedy jeden pastuch zjadł czekoladę, którą dostał od nieznajomego, to zatruł się nią i umarł. Z pewnością był to niemiecki szpieg, podobno jest ich wszędzie pełno i to oni rozdają dzieciom zatrute czekolady.

Parę razy, pojawiły się niemieckie samoloty. Latały nisko, krążąc na miasteczkiem. Na skrzydłach miały czarne krzyże.

Potem przez Telechany zaczęli przejeżdżać różni obcy ludzie. Wszyscy mówili, że są z Warszawy i że jadą w stronę rumuńskiej granicy, tyle, że okrężną drogą. Droga na wprost chociaż o wiele krótsza, jest tak strasznie zapchana uciekinierami i wojskiem, że oni okrężnie do celu dojadą szybciej.

Uciekinierzy jechali przeważnie najętymi chłopskimi furmankami, ale także bryczkami i dorożkami, a czasem trafiały się nawet samochody. Ludzie byli brudni, często głodni, bardzo zmęczeni. O wiele gorzej wyglądali ci, co jechali konnymi pojazdami, bo byli dłużej w drodze.

Wielu spośród nich opowiadało o okropnościach wojny, o niemieckich bombardowaniach, pożarach, o zabitych. Mówili też o tym, że niemieckie samoloty dosłownie polują na uciekinierów jadących i idących drogami. Strzelają do nich z karabinów maszynowych i zrzucają bomby.

Niektórzy ludzie z Telechan, nie chcieli w to uwierzyć. Słuchając tego dziwili się i mówili, że jest to niemożliwe. Bo przecież Niemcy nie są jakimiś dzikusami, tylko kulturalnym narodem i niewinnych cywilów nie zabijaliby. Wtedy uciekinierzy kiwali z politowaniem głowami i mówili niedowiarkom, że lepiej niech ich Bóg uchroni przed taką niemiecką kulturą.

Pewien człowiek, któremu skończyła się benzyna w samochodzie, biegał po miasteczku i chciał za nią dać walizkę pieniędzy. Ale ludzie wzruszali tylko ramionami, bo po co komu walizka polskich pieniędzy, jeśli z pewnością przyjdą tutaj Niemcy. A benzyny i tak nikt nie ma.

Wreszcie, Kalinowski «Kuka» zgodził się odwieźć furmanką dokądś tego człowieka razem z jego rodziną. Po kilku dniach Kuka powrócił zły i mówił, że po jakie licho mu to było. Konia w drodze zabiedził, a ten warszawski drań mu nawet nie zapłacił. Powiedział, żeby w zapłacie wziął sobie pozostawiony w lesie samochód, na co Kuka mówił, że jemu «na chaleru ta czor – towa kolaska». A czortową kolaskę i tak z lasu ktoś zabrał jeszcze przed jego powrotem.

Tak mijał dzień za dniem, a każdy przynosił nowe, ale coraz gorsze wiadomości. Nasi żołnierze walczyli bardzo dzielnie, ale Niemcy zbliżali się coraz bardziej. Ludzie niecierpliwie czekali, kiedy wreszcie Anglicy i Francuzi rozpoczną wojnę Hitlerem. Takie mocarstwa powinny się z nim szybko rozprawić.

Tatę coraz bardziej denerwowały wiadomości usłyszane w radiu. Mówił, że ucieczka rządu za granicę dla niego «śmierdzi» zwykłą zdradą narodu. Wuj Stefan zawsze taki opanowany, teraz też nieraz okazywał zdenerwowanie. Już nie machał flegmatycznie ręką tak jak na ciotkę, ale energicznie gestykulował obiema. Mama nieraz nawet piła krople walerianowe, a ciotka Mania płacząc mówiła, że jej matczyne serce krwawi w obawie o los Ścioszyka, który nie daje znaku życia z Wilna.

Moja kochana Mureczka też popłakiwała biedactwo. Nie wiedziała, co dzieje się z jej narzeczonym Poldkiem. Ostatni list do niej, napisał w dniu wybuchu wojny.

O losie swojego narzeczonego nic nie wiedziała również Baśka Piszczy – kówna. Teraz przychodziła często do Mureczki i obie zamykały się w jej pokoju. Wtedy ja nieraz węszyłem pod drzwiami chcąc wiedzieć, co się tam dzieje. Było mi ich żal, kiedy słyszałem jak obie pochlipują.

Któregoś dnia przyjechał do nas furmanką wujek Nikodem, który mieszka nieopodal Janowa Poleskiego, w Rudzku. Wujek jest mężem cioci Mirki, siostry mojej mamy.

Rodzice i wujek rozmawiał o czymś długo w nocy, a ja nie mogłem usnąć. Leżąc w pościeli słuchałem odgłosów z drugiego pokoju, gdzie prócz rozmowy trwała jakaś krzątanina. Niewiele mogłem zrozumieć, co się tam dzieje. A raniutko wujek Nikodem odjechał z jakimiś tobołami na wozie.

Stojąc w piżamce przy oknie, patrzyłem na odjeżdżającą furmankę. Wujek siedział na niej okryty brunatną burką, z nałożonym na głowę kapturem. W nocy zaczął padać deszcz, a szare jak dym z komina chmury, wisiały tuż nad ziemią. Zrobiło mi się żal konika, który nie miał burki jak wujek i musiał moknąć.

Zapytałem mamę, dlaczego wujek »»»

»»» przyjechał na tak krótko i co to były za toboły. Odpowiedziała mi, że wujek zabrał do siebie pewne nasze cenniejsze rzeczy, bo podczas wojny na wsi jest bezpieczniej.

W dniu wyjazdu wujka Nikodema, skończyły się słoneczne i upalne dni. Na dworze zrobiło się chłodno i często siąpiły nieprzyjemne deszcze.

Któregoś takiego deszczowego ranka, tata po wysłuchaniu wiadomości w radiu powiedział, że teraz to już koniec. Na Polskę nie wypowiadając wojny, napadli bolszewicy. Polska została wzięta w podwójne kleszcze, a nasi sojusznicy na zachodzie, nic sobie z tego nie robią. Po prostu, mają nasz Kraj «w nosie».

Niebawem po zakończeniu radiowego dziennika, zjawił się u nas razem z Mureczką wuj Stefan. Pierwszy raz zobaczyłem wuja nieogolonego. Niedługo potem przyczłapała w szlafroku i papuciach, ale pod parasolem, ciotka Mania. Papucie jej nasiąkły na deszczu wodą i ciotka zostawiała za sobą na podłodze mokre placki.

Wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Mureczka siedziała wtulona w moją mamę i obie miały płaksiwe miny. Tata zapalał kolejnego papierosa od poprzedniego, a wuj krążąc po pokoju krokiem żurawia, nawet nie odpędzał od siebie papierosowego dymu. Ciotka Mania chlipiąc nosem, w pewnym momencie powiedziała, że chyba Pan Bóg odwrócił się od nas, skoro bolszewikom na tę napaść pozwolił.

– Jeszcze tego brakowało, żeby Bóg zajmował się Bolszewikami – zniecierpliwił się wuj i machnął ręką. Ty razem znowu jedną ręką, bo miał do czynienia z ciotką.

III

Po kilku dniach, w chłodne i dżdżyste przedpołudnie, w tartaku zawyła syrena. Cienkim głosem wtórował jej samowarek, parowóz kolejki na stacji. To wycie trwało bardzo długo. Kiedy w końcu urwało się, zrobiło się dziwnie, że panuje taka cisza. Tata powiedział, że zapewne z Iwacewicz przyjechali sowieccy żołnierze i zaraz tutaj będą.

Ludzie nie zważając na drobny dokuczliwy deszcz, powychodzili przed domy. Wszyscy patrzyli w stronę kolejki. Tata też wyszedł z domu i stanął przy furtce z parasolem nad głową. Nasza trójka dzieci wylazła za nim. Tata ostrym głosem kazał nam wracać do domu, ale zaraz przestał zwracać na nas uwagę. To też oczywiście zostaliśmy, przylepieni do sztachet płotu. Nadeszła także mama i przykryła nas z głowami jakimś płaszczem.

Po pewnym czasie zobaczyliśmy bolszewików. W siąpiącym deszczu, ulicą Kościelną od strony kolejki szedł oddział żołnierzy. Mama powiedziała, że to jest właśnie wojsko bolszewickie.

Przed wojną widziałem polskich żołnierzy, piechurów i ułanów. Tamci jednak wyglądali zupełnie inaczej niż ci tutaj. Maszerujący ulicą żołnierze ubrani byli w długie, prawie do kostek szare płaszcze. Na plecach mieli zawieszone ni to torby, ni to worki. Tata powiedział nam, że to takie plecaki i nazywają się sumki. Na głowach żołnierzy tkwiły wysokie czapki zakończone szpicem, z czerwoną pięcioramienną gwiazdą nad czołem. Na ramionach, zawieszone mieli na sznurowych plecionkach długie karabiny z bagnetami. Żołnierze maszerowali w zupełnej ciszy, nie zwracając na nic i na nikogo uwagi.

Oddział wojska zniknął niebawem za zakrętem ulicy i gdzieś się zapodział. Wtedy ludzie stojący dotąd za płotami swoich domów, wylegli na ulicę. Polacy, Żydzi, Rosjanie, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, gestykulowali. Niewiele z tego mogłem zrozumieć, ponieważ jedni mówili, że spotkała nas okropna klęska, inni zaś, że nareszcie przyszli Rosjanie. Że jak dobrze pójdzie, teraz odrodzi się prawdziwa Rosja, «Matuszka Rossija».

Jedni ludzie rozmawiali spokojnie, inni kłócili się ze sobą zajadle. W końcu pogodził ich deszcz, który z kapuśniaczka, zamienił się w ulewny. Wtedy wszyscy rozeszli się do domów. W miasteczku zapanowała pełna oczekiwania cisza, co będzie dalej.

Tego wieczoru tata długo słuchał radia. Był też jak zwykle wuj Stefan. Siedzieli do późna w nocy. Tym razem nie pili herbaty, opróżnili karafkę nalewki i rozmawiali, rozmawiali...

Mama też wypiła z nimi całe dwa, małe kieliszki.

Rano tata wyszedł do miasta, ale zaraz wrócił i powiedział, że widział na mieście enkawudzistów. Spytałem, co to takiego, a tata wyjaśnił mi, że są to bolszewiccy policjanci, z tym, że gorsi od zwykłych. Brat Stefan patrząc w sufit powiedział, że to poważna sprawa, a siostra Mundzia jedynie westchnęła «o Boże».

Po południu i ja zobaczyłem dwóch enkawudzistów. Szli wolno środkiem ulicy i uważnie rozglądali się. Ubrani byli w długie skórzane płaszcze, a na głowach mieli okrągłe niebieskie czapki z czerwonymi otokami i błyszczącymi daszkami. U pasów wisiały im ogromne rewolwery w brezentowych kaburach. Później wuj Stefan powiedział mi, że taki rewolwer nazywa się nagan i jest to bardzo groźna broń. Zapytałem, co robią enkawudziści, ale wuj tylko swoim zwyczajem machnął ręką. Ja dowiedziałem się o tym niebawem.

W kilka dni po zajęciu Telechan przez bolszewików, ojciec zdecydował się rozejrzeć za podjęciem jakiejś pracy. Rankiem nałożył garnitur w prążki, uszyty u krawca Gursztela niedługo przed wojną. Ponieważ dzień był dżdżysty i wyjątkowo chłodny, ubrał jesionkę z aksamitnym kołnierzem zwaną poltotem, wziął kapelusz, rękawiczki i parasol.

Oczywiście, że nie mogłem odpuścić takiej okazji wyjścia z ojcem do miasta i dotąd namolnie skamłałem, aż mama kazała mi założyć płaszcz w szkocką kratę i wsadziła na głowę beret. Obie strony były zadowolone. Mama, że przestałem ją męczyć, a ja, że dopiąłem swego.

Szedłem z ojcem ulicą Kościelną i kiedy zbliżaliśmy się z do budynku nadleśnictwa, wyszło z niego dwóch enkawudzistów. Poznałem ich natychmiast po ubiorze, bo przecież parę dni temu ojciec pokazywał mi takich samych, kiedy obaj staliśmy w domu przy oknie, patrząc na ulicę.

Ci dwaj przez chwilę przyglądali się nam, a potem szybko «przecięli» ulicę i podeszli do nas od przodu, zastępując drogę. Zatrzymaliśmy się z ojcem. Ja patrzyłem na nich zaciekawiony. Jeden z nich ten niższy, miał czarniawą twarz z fioletowym odcieniem po wygolonym zaroście, duże wyłupiaste orzechowe oczy z czarnymi krechami brwi i wielkie, odstające uszy. Drugi dużo wyższy, wręcz olbrzym, był siwiejącym na skroniach blondynem. Skórzany płaszcz ciasno opinał wywalone do przodu brzuszysko, które od dołu podtrzymywał skórzany pas, z dyndającym na nim naganem. Zauważyłem, że na brzuchu wielkoluda płaszcz rozlazł się w szparę, bo brakowało tam guzika. Enkawudzista miał szerokie, sinawe półotwarte usta, w których widać było wielkie jak łopaty, żółte, poprzedzielane szparami zęby. Oddychał ciężko, ze świstem, jak astmatyk pan Szweps. Obaj mieli na nogach buty z cholewami, od połowy w dół zmarszczone w ciasne harmonijki.

Te oględziny zajęły mi krótką chwilę i obaj, a szczególnie ten wielki, nie spodobali mi się. Z zaciekawieniem czekałem, co będzie dalej. Ale to trwało sekundę.

– Wy kto takoj? – Zapytał ten czarniawy.

– W czom dieło, o co chodzi? – Na pytanie, odpowiedział pytaniem ojciec.

W tym samym momencie, chrypliwie zaświszczał ten wielki.

– Aron, toż na wiorstę widać, że to burżujska swołocz – a do ojca – dokumenty!

Ojciec powoli wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i w tym momencie olbrzym wyrwał mu go z rąk, wsuwając do kieszeni swojego płaszcza.

– Dawaj, poszli – zawarczał, dychawicznie świszcząc.

– Proszę mi oddać mój portfel – powiedział stanowczym głosem ojciec.

– Ty burżujska swołocz, ty mi się stawiasz? – Chrapliwie zabulgotał enkawudzista.

Stałem ściskając z całej siły rękę ojca. Opanowywało mnie przerażenie. Coś obrzydliwie słodkiego wyłaziło mi z żołądka i wciskało się do ust. Czułem, jak plecy pokrywają mi się potem.

– Proszę mi oddać mój portfel – powtórzył spokojnie, ale stanowczo ojciec.

– Kiedy tak chcesz, to ci dam, ale w mordę... »»»

»»» Brzuchaty błyskawicznym ruchem walnął ojca pięścią w twarz. Ojciec głucho stęknął, rzuciło go plecami na płot, po którym osunął się na ziemię. Kapelusz ojca poleciał na jezdnię, a parasol na chodnik. Pod nosem ukazała się krew.

– Tataa! – Wrzasnąłem nieswoim głosem i zaniosłem się płaczem.

– Ty job twoju mać, ty będziesz stawiać się mnie? Mnieee?! – Świszcząc i pokasłując wycharczał enkawudzista.

– Siemion, daj spokój, nie bij – mitygował kamrata ten czarniawy.

– Zamilcz Aron, ja tu naczelnik! – Odcharczał brzuchaty. Schylił się nad ojcem i tarmosząc go za kołnierz jesionki, pięścią drugiej ręki poszturchiwał po twarzy. Pokasływał przy tym i świszczał:

– Ty ssobaaka. Ty mier'zaawiec... Ty mnie się staa, yhy, yhy, aawiasz, mnie?!

Przed oczami latały mi czarne płatki. Czułem, jak po nodze spływa mi ciepła strużka moczu. Zsikałem się. Brakowało mi powietrza.

– Tata – wypłakałem.

Wtedy brzuchacz puścił ojca, odwrócił się do mnie i podnosząc pięść ryknął, tym razem zachrypniętym basem:

– Jeszcze i ten szczeniak! Wooon stąd, bo zatłukę!

Nieprzytomny ze strachu rzuciłem się do ucieczki w kierunku domu. Wpadłem do kuchni bez tchu, dusił mnie spazmatyczny płacz. Mama, płacząc razem ze mną, przytulała mnie ile sił pytając, co się stało i co z ojcem. Siostra Mundzia nakapała na cukier kropli walerianowych i prosiła, żebym to wziął. Powoli uspokajałem się. Zlany zimnym potem, z obsikanymi spodniami, bucząc jeszcze i chlipiąc opowiadałem, co stało się na ulicy.

Mama i Mundzia głośno płakały, nawet mój brat Stefan rozmazał się i stał przy oknie pochlipując nosem. Mama wciąż płacząc, nalała do miednicy ciepłej wody i umyła mnie od góry do dołu. Rozchlipana Mundzia pobiegła do wujostwa i zaraz przyszedł wuj Stefan. Chciał iść do NKWD, ale mama uprosiła go, aby tego nie robił, bo jego też jeszcze pobiją i zamkną. Następnie ubrała stare palto, na głowę nałożyła chustkę i poszła tam sama. Wróciła po godzinie płacząc, bo żaden enkawudzista nie chciał z nią rozmawiać.

Minął wieczór i noc. Na drugi dzień przed południem, ojciec przywlókł się do domu. Był bez kapelusza i parasola. Cała jesionka była wybrudzona błotem i miała naderwany jeden rękaw. Twarz ojca była tak spuchnięta, że lewego oka nie mógł otworzyć. Mówił z trudem, sepleniąc przez obrzmiałe wargi. Stękał i mówił, że wszystko boli go, a najgorzej nerki, po których skopał go na komendzie ten brzuchaty.

Przyszedł wuj Stefan i przyprowadził ze sobą felczera, pana Dramowicza. Zgodnie z jego zaleceniami, ojciec leżał obłożony kompresami. Z łóżka podniósł się po kilku dniach.

Swoje uwolnienie z NKWD, ojciec zawdzięczał telechańskiemu Żydowi, Herszelowi. Mijała doba pobytu ojca w komendzie NKWD, kiedy przyszedł tam Herszel i zobaczył sponiewieranego ojca. Narobił wielkiego krzyku, że to jakaś straszna pomyłka. On ojca zna, to najporządniejszy obywatel Tele – chan! On Herszel, osobiście ręczy za niego głową! Krzyku było tyle, że przyszedł sam «komandir» i po rozmowie z Herszelem, kazał ojca zwolnić. Na odchodne, brzuchaty Siemion obiecał ojcu, że na pewno tutaj jeszcze wróci.

Muszę tutaj koniecznie poświęcić słów parę wybawcy ojca, Herszelowi. Przed pierwszą światową wojną, był on jakimś biednym wyrobnikiem. Kiedy wybuchła wojna, został zmobilizowany do carskiej armii, gdzie zetknął się z bolszewicką ideologią. Widocznie zaraził się nią na tyle, że po wojnie związał się z polskimi komunistami. Za swoją z nimi działalność, dostał wyrok kilku lat pobytu w Berezie Kartuzkiej. Mieścił się tam karny, ciężki obóz odosobnienia dla politycznych.

Po odbyciu wyroku, przypałętał się do Telechan i w nich pozostał. Siedział tutaj cicho, nie założył rodziny, był najemnym robotnikiem «smoluchem». Zarówno Żydzi jak i chrześcijanie, uważali go za wyrzutka. Po zajęciu Polesia przez bolszewików, natychmiast przylepił się do enkawudzistów. Jednak życie

pokazało, że nie był on złym człowiekiem. Będąc «osobą przy władzy» pomógł wielu tym, którzy wbrew swojej woli znaleźli się w kleszczach enka – wudowskiego aparatu.

IV

Wprowadzane w Telechanach przez bolszewików zmiany wywracające do góry nogami dotychczasowy porządek, wywołały u większości ludzi głębokie przygnębienie. Ci, co spodziewali się wojskowej pomocy ze strony państw sprzymierzonych z Polską, z nadziei tej musieli zrezygnować. Poczuli się zdradzeni przez nich w haniebny sposób.

Głębokiego rozczarowania doznali także ci, którzy przyjście bolszewików powitali z radością. Obdarowując kwiatami żołnierzy Czerwonej Armii byli pełni nadziei, że oto odradza się «Matuszka Rossija», prawdziwa Mateczka Rosja. Władza radziecka jednak szybko wybiła im z głowy tęsknotę do nieistniejącej od lat Rosji rządzonej przez cara. Zamiast najjaśniejszego cara, wszechwładnie zapanowały rządy towarzysza Stalina, sprawowane za pomocą jego aparatczyków.

Trzeba było pogodzić się z faktem, że bolszewików z Telechan nikt nie przepędzi. Wszystko wskazywało na to, że władza sowiecka umacnia się coraz bardziej.

W nowo powstałym Rejonie Telechan, zaczęły urzędować Reispołkom, Gostbank, Sielsowiety, i inne instytucje o egzotycznych nazwach. Kierownicze stanowiska w nich obejmowali nowi ludzie, ściągani gdzieś z głębi Rosji. Zła sława panoszącego się coraz bardziej w miasteczku NKWD, zaczęła napawać ludzi bladym strachem.

W tych nowych warunkach utworzonych przez sowieckie władze, poprawy swojej sytuacji dopatrywali się jedynie Żydzi, a głównie żydowska biedota z najniższych warstw nędzy. Po wejściu bolszewików natychmiast zamilkła antysemicka propaganda, uprawiana legalnie w Polsce przez niektóre środowiska. Miało to kolosalny wpływ, na zaaprobowanie sowieckiej władzy przez Żydów. Ponadto dla żydowskiej biedoty, przysłowiowym miodem na serce była natrętna sowiecka agitacja, że towarzysz Stalin z najgłębszą troską dba o poprawę losu ludzi cierpiących nędzę, uciskanych dotąd przez «polskich burżujów».

Okazało się jednak, że ten stalinowski «miód» również i w tym środowisku ma gorzki smak. Na skutek różnych donosów i manipulacji partyjnego aparatu, aresztowano także kilku Żydów i skazano na wieloletnie więzienie.

Jednak w odwecie za uprawiany legalnie w Polsce antysemityzm, bolszewickie «głaskanie» Żydów zaowocowało tym, iż sporo żydowskiej młodzieży ochotniczo wstąpiło do Komsomołu. Taką «karierę» zrobili na przykład synowie cieśli Rubachy, z czego ten był wyjątkowo niezadowolony. Również kilku starszych wiekiem Żydów, zostało partyjnymi aktywistami. Kilku innych współpracowało z milicją, a nawet z NKWD, jak choćby poniewierany przed wojną Herszel. Jednak właśnie jemu mój ojciec zawdzięczał, że enkawudziści po aresztowaniu go na ulicy, wypuścili ze swoich łap na wolność.

Teraz Herszel obnosił się po miasteczku z dużą skórzaną teczką, która przedtem należała zapewne do kogoś z aresztowanych przez NKWD. Tej teczki zazdrościli Herszelowi wszyscy przyjezdni sowieccy dygnitarze, bo oni mieli wyłącznie ceratowe.

Także ze skórzaną czyjąś teczką, cwałował po Telechanach miejscowy kominiarz Zońka Żywołowicz, noszący przezwisko Wijun, co po rosyjsku oznacza piskorza. Wijun był «podstrzelonym» człowieczkiem, obiektem nieustających żartów i dowcipów. Po wejściu bolszewików porzucił kominiarstwo i został partyjnym aktywistą. W związku z tym, kominów teraz nikt nie czyścił i często zapalały się w nich sadze.

****

Partyjny awans tych dwojga był jednak niczym, wobec kariery niejakiego Mikołaja Dziechciaryka. Splendor, jakim obdarzyła go sowiecka władza, wprawił miejscowych ludzi w osłupienie. Dziechciaryk był telechańskim lumpem, szwendającym »»»

»»» się najczęściej nieopodal Telechan w Świętej Woli, czy Wielkiej Haci. Będąc jeszcze wyrostkiem, w całej okolicy dał się poznać jako chuligan i złodziejaszek.

W latach dwudziestych, Dziechciaryk «zwąchał się» z Komunistyczną Patią Zachodniej Białorusi, podziemną organizacją działającą na terenie Polesia. Będąc członkiem jej młodzieżowej jaczejki, nie popisał się zbytnio. Przyłapany na kolportażu komunistycznych gazetek, a potem rozpoznany przez policję na nielegalnej demonstracji komunistów w Kosowie, dla podziemnej organizacji był już spalony. Zresztą, nie zaprowadziła go tam miłość do komunizmu, lecz fakt, że ta podziemna organizacja posiadała nielegalny magazyn broni. Zwędzony tam pistolet, miał mu ułatwiać rabunkowe napady.

Na swoją pierwszą ofiarę napadu z bronią w ręku, Dziechciaryk upatrzył zamożnego żydowskiego kupca Abrama ze Świętej Woli. Posłużył się przy tym osobą swojego kumpla Gładuna, który był furmanem u Abrama.

Niebawem kupiec wybrał się do Kosowa po towar. Pojechał tam furmanką, powożoną przez Gładuna. Wyjechali ze Świętej Woli jeszcze nocą, aby w jednym dniu zdążyć ze sprawunkami. Dziechciaryk powiadomiony przez furmana o tym wyjeździe, zaczaił się na kupca przy drodze, biegnącej przez pobliski las. Kiedy tam nadjechała furmanka wioząca Abrama, bandyta zabił go strzałem z pistoletu. Po zabraniu nieboszczykowi trzystu złotych i zegarka, czmychnął do lasu zostawiając swojego kumpla Gładuna na pastwę losu.

Policja niebawem ujęła ukrywającego się w lesie bandytę i osadziła w areszcie. Nadzwyczajnie skorzystała na tym policja polityczna, nosząca nazwę Defensywy. Wiedziano tam, że Dziechciaryk należy do podziemnej komunistycznej organizacji. Na prowadzonym przez Defensywę śledztwie, bandyta ratując własną skórę zaczął sypać swoich «towarzyszy» z KPZB. Dzięki jego zeznaniom, została ona na terenie kosowskiego powiatu doszczętnie rozbita.

Rok później, w Grodnie odbył się głośny proces komunistów. Sądzono na nim kilkudziesięciu członków rozbitej przez Defensywę, nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Na procesie tym, Dziechciaryk występował głównie jako świadek, pogrążając zeznaniami swoich niedawnych «towarzyszy».

Za tak okazaną «skruchę», bandyta nie otrzymał odsiadki w Berezie Kartuskiej, gdzie mieścił się obóz odosobnienia dla skazańców politycznych. Jako morderca i rabuś, osadzony został w ciężkim więzieniu dla kryminalistów na Świętym Krzyżu. Kiedy we wrześniu 1939 roku Polskę zajmowały niemieckie wojska, wszyscy skazani odsiadujący tam wyroki, a wśród nich i Dziechcia – ryk, zostali uwolnieni mocą dekretu Prezydenta o zbiorowej amnestii.

Dziechciaryk zjawił się w Telechanach po zajęciu ich przez bolszewików jako zasłużony bojownik komunistycznego podziemia, ofiara «Polskiego terroru». Partyjne władze w dowód uznania za «ofiarną podziemną walkę z polskim reżimem», półpiśmiennego kryminalistę zrobiły dyrektorem banku. Ludzie widząc ten niesłychany skandal, wołali w duchu o pomstę do Boga. W duchu, gdyż miasteczko sterroryzowane przez enkawudzistów, milczało.

Jednakże towarzysz Dziechciaryk miał pecha, bowiem znaleźli się w Te – lechanach dwaj odważni Żydzi, którzy zdemaskowali jego kryminalną przeszłość. Tymi desperatami byli krewni zamordowanego kupca Abrama, fryzjer Lejba Melcer i jego kuzyn Karczmar. Złożyli oni partyjnym władzom udokumentowany meldunek, że towarzysz Dziechciaryk jest bandytą, który kilkanaście lat wcześniej zamordował w celu rabunkowym kupca Abrama i za to odsiadywał przed wojną wyrok w kryminale dla pospolitych zbrodniarzy.

Towarzysze z partyjnego aparatu, popadli w nader kłopotliwą sytuację. Mieli świadomość tego, że sprawa ta może nabrać wielkiego rozgłosu. Ratując autorytet «nieomylnej» partii, problem rozwiązali następująco. Nie uznali wyroku polskiego sądu skazującego Dziechciaryka na więzienie, ale przenieśli go z urzędu dyrektora banku na jakąś podrzędną posadkę.

Następnie aparatczycy dalej ratując «autorytet» tak skompromitowanej partii, zastosowali niezawodną metodę terroru. Obaj demaskatorzy Dziech – ciaryka Melcer i Karczmar, zostali aresztowani w lipcu czterdziestego roku pod pretekstem kontrrewolucyjnej działalności. Bolszewicki sąd wymierzył im karę po osiem lat więzienia. Do jej odbycia, skazanych wywieziono gdzieś w głąb Rosji. Było to wyraźne ostrzeżenie dla tych, których interesowałby jakiś osobnik będący jednocześnie bandytą i bojownikiem o komunizm.

Tym oto sposobem, autorytet komunistycznej partii, został nienaruszony.

V

Sowieckie władze realizując metodą przemocy politykę nieomylności komunistycznej partii, w imponującym tempie całkowicie zmieniły dotychczasowy wizerunek Telechan. Dokonując tych zmian, nie zapomniano także o młodzieży i dzieciach. Już w listopadzie 1939 roku, bolszewicy otworzyli w Telechanach szkołę i zaczął się rok szkolny. Po raz drugi w tym samym roku kalendarzowym.

Jednak w tej szkole było zupełnie inaczej jak przed wojną. Odczuwałem mocno brak mojego przyjaciela Chaimka Perelsztajna, bo teraz chodził on do przedwojennej żydowskiej ortodoksyjnej szkoły, którą sowieci zamienili w szkołę publiczną, ale wyłącznie dla dzieci żydowskich. Teraz widywaliśmy się rzadko i tylko po powrocie ze swoich szkół.

Kiedy w tych nowych warunkach spotkaliśmy się po raz pierwszy i dali już upust radości spotkania, zaczęliśmy dzielić się szkolnymi wrażeniami.

– Aj, co to za szkoła dla Żydów – konkludował swój «raport» Chaimek – kiedy niektóre nauczyciele wcale po naszemu mówić nie umieją. Ja dla ciebie mówię, ty pomyśl sobie, że jak my na przerwie po naszemu rozmawiamy, to te nauczyciele krzyczą, że «nada gawarit' na russkom jazykie». Ty sobie pomyśl, tak krzyczą nawet nasze żydowskie nauczyciele! Oni ruskiego same muszą się dobrze wyuczyć!

Tutaj przypomniał mi się epizod, często powtarzający się w naszej przedwojennej szkole. Kiedy białoruskie dzieci rozmawiały ze sobą «po swojemu», nasza nauczycielka Kundzia strofowała je podniesionym głosem:

– Dzieci, nie rozmawiać po chłopsku!

Ha, okazało się, że każda pliszka swój ogonek chwali, bez względu na jego kolor.

Zrozumiałe, że teraz w szkole naukę prowadzono w języku rosyjskim. Niebawem jednak obowiązującym językiem, stał się białoruski. Trzeba było szybko nauczyć się czytać i pisać w tych obu językach. Brat z siostrą siedzieli obok siebie i uczyli się czytania, a ja klęcząc na krześle naprzeciw nich, też się uczyłem. Wyszło mi to na złe, bo po jakimś czasie okazało się, że najlepiej w tych językach czyta mi się trzymając książkę do góry nogami, a nie normalnie. Musiałem sporo popracować nad sobą, aby książka trzymana normalnie, nie utrudniała mi czytania. Cierpliwie pomagała mi w tym kuzynka Murecz – ka, która podjęła pracę nauczycielki w naszej szkole i uczyła właśnie języka białoruskiego. Mureczka była teraz jedyną żywicielką rodziny, bo po przyjściu bolszewików, wuj Stefan oczywiście utracił swoją wysoką emeryturę.

W szkole nastąpiły wielkie zmiany. Pan Pierowski nie był już kierownikiem, tylko zwykłym nauczycielem. Potem w ogóle go zwolniono. Teraz nie kierownikiem, lecz dyrektorem szkoły, była osoba przyjezdna z Rosji, Walentyna Pietrowna Siłkowa. Początkowo wyglądem nie różniła się od innych przyjezdnych Rosjanek. Nosiła obszerną szubę ze sztucznego misia, na głowie ogromną wełnianą chustę, a na nogach wojłokowe walonki. Jednak już po miesiącu, przebrana w zgrabne palto i botki, oraz biały z fantazją noszony beret, wyglądała jak dbające o swój wygląd telechańskie kobiety.

Mureczka mówiła w domu, że Walentyna Pietrowna jest osobą inteligentną i kulturalną, bardzo różniącą się od innych przyjezdnych. Chwaliła ją też, jako dyrektora szkoły. Wśród uczniów, Pietrowna wzbudzała respekt, ale była lubiana. »»»

»»» Pan Jakutowicz uczył tylko pół roku, bo został aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji. Nauczycielami zostały osoby, dotąd ze szkołą niezwiązane. Oprócz mojej kuzynki Mureczki, uczyli w szkole prawosławny djakon Giennadiej Arkadiejewicz Trydeński i jego żona Eugenia, sąsiadka pani Polczyńska i pani Wojdyłowa żona lekarza, który nie wrócił z wojny. Inni nowi nauczyciele, to byli przyjezdni z Rosji. Wśród nich był Żyd Szul – czyn, który po rosyjsku mówił bardzo źle i śmiesznie wyglądał. To też niebawem zyskał w szkole przydomek «Chwost», co po rosyjsku znaczy ogon.

W szkole pojawiła się także osoba do tej pory nieznana. Była to zastępczyni dyrektora szkoły do spraw wychowania ideologicznego, opiekunka młodzieżowych organizacji. Osoba ta oficjalnie nazywała się «wożataja», co w wolnym tłumaczeniu oznaczało młodzieżową przywódczynię.

Swoją pracę w szkole zaczęła od tego, że wszyscy starsi uczniowie zostali zapisani do «Komsomołu», a młodsze dzieci do «Pionierów». Wożataja mająca niewiele ponad dwadzieścia lat, była wielką i rozlazłą babą o tępej twarzy i takimż usposobieniu. Nieomal natychmiast zyskała powszechną antypatię wszystkich uczniów. Na długich i nudnych zbiórkach, nie potrafiła nawiązać z «podwładnymi» żadnego kontaktu.

Zbiórki polegały głównie na czytaniu różnych propagandówek, z trzymanej w ręku instrukcji. Podczas tego zajęcia, wożataja nigdy nie spojrzała ani razu na salę. Jak ognia unikała bezpośredniej, swobodnej rozmowy, a nawet spojrzenia uczniowi w oczy.

Jednakże dobra Matka-Natura obdarzyła tę nieudacznicę jednym talentem. Bojowe, młodzieżowe piosenki śpiewała przepięknym, słodko brzmiącym głosem. No i wszystkie je znaliśmy, nie ucząc się ich wcale. One same właziły nam w uszy z głosem wożatej...

W szkole wprowadzona została nowa forma zwracania się do nauczycieli, powszechnie stosowana w Rosji. Należało zwracać się do nich «po imiaot – cziestwu», czyli wymieniając imię nauczyciela i jego ojca. I tak na przykład, do dyrektorki zwracaliśmy się per Walentina Pietrowna, a do mojej Murecz – ki, Margarita Stiepanowna.

Lekcji religii oczywiście nie było, a niektórzy nauczyciele ciągle powtarzali, że «Boga nietu». Z klas poznikały krzyże, portrety Mościckiego i Rydza – Śmigłego. Na ich miejscu pojawiły się portrety Lenina i Stalina. Niektóre



Fotografia z 1940 roku siódmej klasy szkoły w Telechanach. W drugim rzędzie widać siedzących nauczycieli: moją kuzynkę Mureczkę, osławioną «wożatuju», dyrektorkę szkoły Walentynę Siłkową, Jana Pierowskiego i panią Wojdyłową. Za nią stoi Nadzia, córka cioci Katarzyny.



Fotografia klasy szóstej z zimy 1940 roku. Pierwsza dziewczynka «wyglądająca» po lewej stronie zza głów chłopców to moja siostra Mundzia, a obok siostry stoi jej przyjaciółka Irka Szpilfogel.

Fotografia klasy czwartej wykonana w tym samym czasie. Piąty chłopiec od strony okna w czapce «pilotce», to mój brat Stefan. Pośród dzieci widać siedzącą dyrektorkę szkoły Siłkową. Z tych portretów namalowali dwaj

uczniowie ze starszej klasy, bracia Adam i Karol Hercmanowie. Pochodzili z Warszawy, a ojciec ich był artystą malarzem. Kiedy wybuchła wojna, Hercmanowie uciekając przed Niemcami dotarli aż do Telechan i tutaj pozostali.



W Telechanach pozostał także uciekinier z Warszawy, artysta rzeźbiarz pan Szpilfogel wraz z żoną i córką Irenką. Była to całkowicie spolszczona żydowska rodzina. Szpilfoglowie zamieszkali po sąsiedzku, najmując pokój w domu stolarza Perelsztajna.

Irenka chodziła do jednej klasy z moją siostrą Mundzią. Dziewczynka miała w nosie polipa, dlatego też oddychała sapiąc i mówiła przez nos. Irenka często przychodziła popołudniami do mojej siostry i razem odrabiały lekcje. Nijak nie mogła nauczyć się czytać po rosyjsku. Kiedyś przyniosła i podarowała mi drewnianego konika, wyrzeźbionego przez jej tatę.

I tak obaj panowie artyści z Warszawy, wiedli w Telechanach nędzny żywot. Jeden malując, a drugi rzeźbiąc dla miejscowych urzędów wizerunki Lenina i Stalina.

Nędzny żywot wiedli nie tylko artyści z Warszawy. Jak mówiła mama, nastały dla nas ciężkie czasy. Ojciec mój nie mógł nawet marzyć o pracy, zgodnej z jego kwalifikacjami. Nie mieliśmy więc pieniędzy, ale nie było to największe zmartwienie, bo sklepy świeciły pustkami. Mama gotowała na okrągło kartoflankę, barszcz, zacierki i kasze. Zostaliśmy pozbawieni własnego mleka, gdyż bolszewicy zabrali do kołchozu obie nasze krowy.

Ciotka Mania dzieliła się z nami mlekiem, bo jej rasowa holenderska krowa Czekolada, jakimś cudem ocalała przed kołchozem. Mój brat wydeduko – wał powód tego, bo była czarna, a nie czerwona. Niestety, nasze krowy były rasy czerwonej poleskiej. Ponieważ kur do kołchozu nie zabierano, a one jakoś się niosły, to w domu były «swoje» jajka.

Także wuj Stefan miał kłopoty z uzyskaniem jakiejkolwiek pracy i cała rodzina utrzymywała się z nauczycielskiej pensji Mureczki.

Wreszcie ojciec dostał pracę w buchalterii rejonowego banku, ale prędziutko i bez uzasadnienia, został stamtąd zwolniony. Mając kłopoty z uzyskaniem następnej pracy, po bezowocnych poszukiwaniach czepił się w końcu roboty w tartaku, przy trakowaniu drzewa. Teraz już było w porządku, bo był «czornoraboczij». Raniutko wychodził z domu w połatanym kożuszku, który dostał od znajomego Poleszuka Basałaja. Obaj znali się jeszcze sprzed wojny. Mama uszyła z grubego płótna torbę, do której każdego ranka wkładała posiłek dla taty. Na ogół był to czarny chleb i ugotowane na twardo jajka. Czasami tylko chleb i cebulę, kiedy brakowało jajek.

W tartaku pracowali wraz z ojcem Łoziuk, Chomienia i młody Bogdanowicz Oni również na wzór innych mieszkańców, chodzili teraz w starych zniszczonych kapotach, żeby nie rzucać się w oczy porządnymi, «burżujski – mi» okryciami. Kto nie miał w domu takich staroci, na swoje palto naszywał łaty i tak chodził. Teraz przyzwoicie ubrany człowiek na ulicy, natychmiast rzucał się w oczy.

«Naczalnikami» wszędzie zostali bolszewiccy urzędnicy, którzy przyjechali z Rosji. Jeden z nich pracujący w tartaku, przyjechał nawet z dalekiej Syberii. Mówił, że u nas nie ma zimy. Kiedy ludzie kulili się z zimna i stawiali kołnierze, on chodził w rozpiętej kurtce, bez szalika i w rozchełstanej pod szyją koszuli.

Większość przyjezdnych Rosjan opowiadało, jak u nich wszystko «kultur – no» i jaki to dobrobyt panuje w ZSRR. Jak tam pełno wszelkiego dobra. Jeśli w Telechanach jest inaczej, to nie szkodzi. Niebawem dobrobyt dotrze i tutaj. Wszyscy ci głosiciele lepszego jutra, na odległość skrzyli się żenującym prostactwem. Przypuszczalnie ich móżdżki szczerze wierzyły w radosną »»»

»»» przyszłość Telechan. Przyznać jednak trzeba, że wśród przyjezdnych byli także ludzie myślący normalnie. Ci jednak, zapewne w obawie przed NKWD głosu nie zabierali w takich sytuacjach. Milczeli.

Natomiast rzeczywistość mniej radosną od głoszonej, stworzyło w miasteczku NKWD. Już w listopadzie 1939 roku, nastąpiły pierwsze aresztowania, a niedługo po nowym roku, rozpoczęły się wywózki ludzi na Syberię i do Centralnej Azji.

Na pierwszy ogień, w Telechanach poszli komendant policji pan Kowal razem z rodziną i pozostali policjanci. Potem aresztowano byłego burmistrza Kowalewskiego i kilku urzędników, a wśród nich męża chrzestnej mojego brata, wujka Cypriana Demczyłę.

Ofiarą aresztowania i wywózki, niebawem padli nasz sąsiad Polczyński, nadleśniczy Jakutowicz, właściciel przewozowej firmy Pigulewski, oraz nauczyciel pan Gwiazdowski. W kilka miesięcy później, aresztowano z całą rodziną jego żonę, która też była nauczycielką w mojej szkole i wywieziono na Syberię.

NKWD szybciutko dobrało się również do byłych legionistów, którzy mieli niewielkie mająteczki w okolicach Telechan, nadane im przez polskie władze. Wszyscy oni jako wrogowie pracującego ludu i kontrrewolucjoniści, otrzymali wieloletnie wyroki. Rodziny ich powywożono do Archangielska, albo Kazachstanu.

Wśród aresztowanych przeważali Polacy, lecz byli też Rosjanie a nawet Żydzi, których w tym czasie, bolszewicy swoim traktowaniem wręcz «głaskali».

Aresztowania następowały zawsze w nocy. Enkawudziści dobijali się do drzwi, potem dawali «poł czasa», pół godziny na spakowanie małego bagażu. Aresztowanych eskortowano na stację kolejki, skąd wywożono do Iwace – wicz. Stamtąd pod «opieką» czerwonoarmistów wywożono ich w głąb Rosji, w zamkniętych bydlęcych wagonach. W takich warunkach, deportowano ludzi podczas najsurowszej zimy ubiegłego wieku.

Bezpańskie teraz domy po wywiezionych, zajmowali przybysze z głębi ZSRR.

Po kilku miesiącach, zaczęły nadchodzić ocenzurowane listy od wywiezionych. Nie od wszystkich. Niektórzy zamilkli na wieki. Mówiono, że wielu ludzi umiera w transporcie. Ci, co dojechali do swojego miejsca przeznaczenia błagali w listach o żywność, a szczególnie o cebulę i czosnek, bo zagraża im szkorbut.

Teraz, co jakiś czas przychodziły do nas paczki z Rudzka od cioci Mirki i wujka Nikodema. Była w nich kasza, mąka, słonina. Mama dzieliła te produkty na kilka części i robiła z tego nowe paczki, które zaszywała w płótno. Na płótnie tym wypisywała chemicznym ołówkiem dziwne, nowe adresy naszych znajomych, wywiezionych przez bolszewików. Z tymi paczkami szła na pocztę, gdzie naczelnikiem był teraz jakiś człowiek z Rosji. Niektórych paczek, poczta nie chciała przyjmować. Mówiono, że «tam nielzia».

Ciocia Katarzyna, chrzestna mojego brata, przychodziła do nas często. Siadała na kozetce, albo w kuchni na ławie i płakała. Ona nie miała żadnej wiadomości od męża. Mama pocieszała ją, jak umiała, że jeszcze napisze, że na pewno żyje, że Pan Bóg jest miłosierny. Przecież jej męża wywieźli razem z Polczyńskim, a on już napisał list. Na pewno pracują razem przy wyrębie tajgi.

Niestety, ciocia Katarzyna nie doczekała się listu od męża. Po jakimś czasie i o panu Polczyńskim słuch zaginął. W nieskończonej syberyjskiej tajdze, zaginęła również wieść o wywiezionych tam, Pacu, Daszkiewiczu i wielu innych.

Moi rodzice każdej nadchodzącej nocy, w napięciu czekali na wizytę NKWD. Ciotka Mania, każdego wieczoru siedząc wygodnie w fotelu długo modliła się na głos, aby dobry Pan Bóg ocalił jej rodzinę przed aresztowaniami. Oczywiście, głównie prosiła o uratowanie syna Stefcia, jej Ścioszyka, przedwojennego studenta Uniwersytetu Wileńskiego. Jak do tej pory, to Ścioszyk z pomocą swojej narzeczonej Ireny mieszkanki Grodna, skutecznie schodził z oczu radzieckiej władzy. W dużym mieście takim jak Grodno, udawało mu się to zupełnie skutecznie. Tam też przetrwał cały okres władzy bolszewickiej, i nawet zdążył ożenić się z Ireną.

Grzegorz Rąkowski

KANAL OGIŃSKIEGO

Pas kanału Ogińskiego nie jest może specjalnie imponujący swemi rozmiarami, ale jest w całem tego słowa znaczeniu uroczy, jest piękny: pas przezroczystej wody, oblamowany z obu stron omszałemi dębami, sosnami i olszynami, z miodnemi pniami na konarach niektórych z nich. Dużo wojna zniszczyła, ale nie mało ocalało mimo wszystko i trwa. I ta nieskończona poleska cisza, grająca komarami i ledwo dającym się odczuć powiewem. A te niemieckie betonowe bastiony, wieże i schrony, o historycznym już posmaku wielkiej wojny europejskiej, jakby w miniaturze – toutes proportions gardàes – nadreńskie zamki i ruiny feudalne. Uroczy jest pas kanału Ogińskiego.

Bunt Młodych, 20.10.1934, «Na Polesiu puls bije mocnej».

Telechany położone są na kolejnym wielkim ostrowie wśród bagien Zajasiołdzia, zwanym Ostrowem Telechańskim. Po raz pierwszy wymieniane w XVI w., a od XVII w. określane jako miasteczko, były dawnym dziedzictwem książąt Dolskich, z których ostatni, Jan Karol, był założycielem Karolina – «satelitarnego» miasteczka Pińska. Po jego śmierci w 1695 r. Karolin wraz z Telechanami przeszły na własność jego zięcia – księcia Michała Serwacego Wiśniowieckiego (1680-1744). On też był ostatnim ze swego rodu – pozostawił tylko córki. Jedna z nich, Anna, poślubiła księcia Tadeusza Józefa Ogińskiego i na mocy działów rodzinnych poleska część fortuny Wiśniowieckich wraz z Telechanami dostała się w ręce Ogińskich. Synem Tadeusza Józefa i Anny był słynny twórca kanału, wojewoda wileński i hetman wielki litewski Michał Kazimierz Ogiński (1728-1800). Odziedziczył on ogromne dobra, a na swą główną siedzibę wybrał Słonim, w którym założył prawdziwie wielkopańską rezydencję ze słynnym teatrem dworskim. Słonim leży nad Szczarą i stąd zapewne wziął się pomysł budowy kanału łączącego tę rzekę z Jasiołdą, płynącą przez poleskie dobra Ogińskiego. Powstanie drogi wodnej pomiędzy dorzeczami Prypeci i Niemna zapewniałoby także hetmanowi udział w zyskach z handlu i transportu wodnego. Niemałą rolę w zainicjowaniu budowy odegrał przyjaciel i zarządca dóbr Ogińskiego, znany nam z Pińska Mateusz Butrymowicz.



Michał Kazimierz Ogiński

Kanał, nazwany imieniem Ogińskiego, zbudowano w latach 1765-83. Połączył on Jasiołdę ze Szczarą, a tym samym Prypeć z Niemnem i Morze Czarne z Bałtyckim. Jak już wiemy, w nagrodę za rozpoczęcie tej ogromnej inwestycji Sejm nadał Ogińskiemu w 1768 r. Łohiszyn. Hetman otrzymał także wieś Myszkowce i prawo pobierania myta od spławianych kanałem jednostek w wysokości 8 zł «od wiosła lub sprychy». Kanał Ogińskiegoz stał się jedną z najważniejszych dróg wodnych na Polesiu, a jego otwarcie w dużej mierze przyczyniło się do rozkwitu Pińska jako ważnego portu śródlądowego «siedzącego okrakiem na dwu morzach». Budowa umożliwiła także rozwój ośrodka poleskich dóbr Ogińskiego – Telechan, które zamieniły się w ożywione miasteczko. W końcu XVIII w. powstał tu port oraz zakłady przemysłowe: manufaktura sukienna i słynna »»»

»»» fabryka fajansów (1778), do której sprowadzano wyborną glinkę z poleskiego Horodna. W Telechanach wyrabiano bogato zdobioną zastawę stołową, dekoracyjne figurki ozdobne kafle do pieców i kominków. Kanałem transportowano przede wszystkim zboże, drewno, oraz surowce dla telechańskich manufaktur i ich gotowe wyroby. Kolejny port powstał w Słonimiu nad Szczarą, gdzie Ogiński także założył manufakturę włókienniczą.

Budowa Kanału, która pochłonęła niewyobrażalnie wielką jak na owe czasy kwotę 12 milionów złotych, a także inne inwestycje i udział w konfederacji barskiej (przypomnijmy, że hetman dowodził wojskami konfederackimi w zwycięskiej bitwie pod Bezdzieżem) mocno nadszarpnęły fortuhę Ogińskiego, który silnie zadłużył swe dobra i znaczną ich część musiał rozprzedać. W końcu XVIII w. klucz telechański, liczący ponad 40 tys. dziesięcin, kupił dzierżawca Słonimskich dóbr Ogińskiego, znakomity ekonomista i organizator Wojciech Pusłowski (1762-1833), twórca podstaw zamożności swego rodu. W ręku Pusłowskich dobra te pozostały do II wojny światowej. Telechańskie manufaktury na początku XIX w. zostały wydzierżawione Żydom i podupadły; słynną fabrykę fajansów zamknięto w 1830 r. Po rozbiorach zaniedbany kanał przejęły władze rosyjskie, które unowocześniły go i przebudowały. W Telechanach w dalszym ciągu istniał port handlowy, umieszczono tu także zarząd odpowiedzialny za utrzymanie i konserwację kanału oraz stocznię rzeczną. Aż do I wojny światowej Kanał Ogińskiego funkcjonował nieprzerwanie, przyczyniając się do eksploatacji lasów Polesia, bowiem służył głównie jako droga transportu poleskiego drewna przez Szczarę i Niemen do portów bałtyckich. O skali tej działalności świadczy zachowany opis z roku 1820, mówiący o tratwach płynących nieprzerwanym ciągiem przez kanał i Szczarę na przestrzeni 30 mil (ponad 200 km) od Jasiołdy aż po Słonim.

Hetman Ogiński miał zapewne w Telechanach jakąś rezydencję, przejętą później przez Pusłowskich, bowiem jeszcze do II wojny światowej istniały tu ruiny, zwane pałacem Ogińskich. Chyba jednak już w końcu XIX w. pałac był w złym stanie, bowiem na początku XX w. Pusłowscy »»»



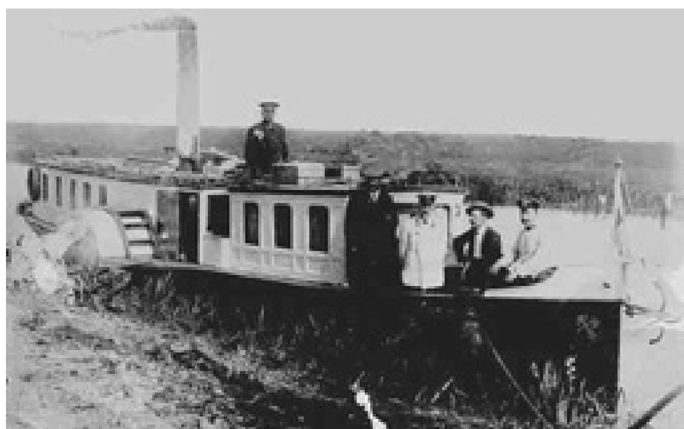










Foto
Alaksiej
Dubrouski



»»» wybudowali sobie nową rezydencję w odległym, choć należącym do klucza telechańskiego Zawiszczu, położonym na południe od Janowa Poleskiego. Zarząd dóbr pozostał jednak w Telechanach, istniała tu także kaplica dworska, wzniesiona w 1817 r. przez Wojciecha Pusłowskiego, która w okresie międzywojennym służyła jako kościół parafialny. W II poł. XIX w. w Telechanach powstały nowe, drobne zakłady przemysłowe: gorzelnia, młyny i huta szkła. Spowodowało to wzrost liczby





mieszkańców z 558 w 1886 r. do około 1000 na początku XX w.

Podczas I wojny światowej wzdłuż Kanału Ogińskiego przez trzy lata przebiegała linia frontu niemiecko-rosyjskiego, co spowodowało całkowite zniszczenie urządzeń hydrotechnicznych. W latach 1923 – 1927 staraniem rządu polskiego wszystkie urządzenia zostały odbudowane. Kanał wykorzystywano w tym okresie głównie do spławu drewna, działała też linia pasażerska z Pińska do Telechan, a na dalszych trasach organizowano na zamówienie rejsy wycieczkowe. W Telechanach, podobnie jak w czasach carskich, mieściła się siedziba zarządu kanału oraz stocznia wyrabiająca i remontująca różnego rodzaju łodzie i barki. Miasteczko miało połączenie kolejką wąskotorową ze stacją kolejową Iwacewicze na linii z Brześcia do Baranowicz. Właśnie tą kolejką dostali się tu dwaj znani ze świetnych piór mistrzowie reportażu – Józef Mackiewicz i Ksawery Pruszyński, którzy w krótkich odstępach czasu odwiedzili w latach trzydziestych Telechany. Oto ich obraz widziany oczyma Pruszyńskiego:

«Wreszcie Telechany. Nędza. Na pryncypalnej ulicy Marszałkowskiej, która dość smętnie przypomina Warszawę, same sklepy wódczane. Wyszynk, handel alkoholem, rozlewnia, wina i wódki. Czasy saskie do użytku braci chłopów. Coraz inni Żydzi sprzedają w tak samo nędznych chatkach najtańsze i najgorsze wódki. Wszystkie inne towary trzymane są jako dodatek do wódki i «machorki». Nawet skład apteczny siedzi kątem u wódczarza. (...)

Wszystko jest tu na miarę telechańską; obywatel posiadający 100 złotych w PKO uchodzi za lokalnego magnata, a obywatelka umiejąca czytać nie tylko w książce do nabożeństwa – za intelektualistkę.»

Kres znaczenia kanału przyniosła II wojna światowa, po której nie został już odbudowany. Zniszczeniu uległy niemal wszystkie śluzy.

Wraz z upadkiem żeglugi podupadły też Telechany, choć po wojnie były siedzibą władz rejonu (zlikwidowanego w 1959 r.j, a od 1956 r. mają prawa osiedla miejskiego. Ożywienie nastąpiło dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdy powstało tu kilka drobnych zakładów przemysłowych, opartych głównie na eksploatacji surowca drzewnego i jego przeróbce, oraz baza melioracji okolicznych terenów. »»»

»»» Utworzono też strefę wypoczynku obejmującą pobliskie Jezioro Wólkowskie. Obecnie Telechany leżą w rejonie iwacewickim i liczą około 5 tys. mieszkańców.

Najciekawszym obiektem w Telechanach pozostaje więc Kanał Ogińskiego, który mimo zniszczeń II wojny światowej jest wciąż cennym zabytkiem budownictwa hydrotechnicznego. Kanał zaczyna się na północ od Pińska i biegnie przez bagna i lasy Zajasiołdzia, przecinając po drodze dwa jeziora: niewielkie Jezioro Wólkowskie koło Telechan (65 ha) i Jezioro Wygonowskie (2600 ha), które jest jednym z największych zbiorników wodnych na Polesiu. To ostatnie stanowiło najwyższy punkt szlaku wodnego (154 m n.p.m.) i główny rezerwuar wody zasilającej kanał. Na trasie kanału znajdowało się dawniej dziesięć drewnianych śluz komorowych: dziewięć na odcinku pomiędzy Jasiołdą a Jez. Wygonowskim, gdzie różnica poziomów wynosiła łącznie 15,5 m, oraz jedna na krótkim odcinku łączącym Jez. Wygonowskie ze Szczarą (różnica poziomów 1 m). Kanał był szeroki na 12-18 m i głęboki na 1-1,5 m. W jego skład wchodził ponadto obustronny pas ziemi szerokości około 25 m. Tędy biegła droga holownicza i groble zabezpieczające kanał w miejscach, gdzie jego poziom byl wyższy niż poziom otoczenia, a także pomocnicze kanały odwadniające, tzw. przykanalki. Zimą składowano tu drewno przeznaczone do spławu. Łączna szerokość kanału i pasów pomocniczych wynosiła ok. 80 m.

Kanał można ze względu na jego obecny stan podzielić na trzy odcinki. Odcinek pomiędzy Telechanami a Jasiołdą, przebiegający w większości przez osuszone bagna, funkcjonuje jako część systemu melioracyjnego, czyli po prostu jako główny kanał odwadniający. Pomiędzy Telechanami a Jez. Wygonowskim kanał jest niemal całkowicie zamulony, silnie zwężony i częściowo zarośnięty. Jedynym sprawnym i spełniającym dawne funkcje fragmentem jest krótki odcinek łączący Jez. Wygonowskie ze Szczarą, na którym zachowała się jedyna sprawna śluza.

Postanawiamy wyruszyć na wędrówkę wzdłuż najdzikszego odcinka kanału. Kierujemy się na północ szosą z Telechan do wsi Wygonoszcza. Początkowo prowadzi ona w pewnym oddaleniu od kanału, a następnie brzegiem położonego na północ od miasteczka Jeziora Wólkowskiego, którego nazwa pochodzi od sąsiadującej z nim wsi Wólka. Niegdyś jezioro stanowiło dogodne zimowisko dla jednostek pływających. Leśne otoczenie i piaszczyste, dostępne brzegi jeziora spowodowały, że w latach siedemdziesiątych utworzono tu strefę wypoczynku, powstało kąpielisko, kilka ośrodków wypoczynkowych oraz sanatorium «Polesie». Tuż za jeziorem, na skraju Wólki, szosa przecina kanał i dalej biegnie przez las równolegle do niego. Zatrzymujemy się na moście, aby dokładnie przyjrzeć się jednemu z najsłynniejszych kanałów dawnej Rzeczypospolitej. Tak pisał o nim Ksawery Pruszyński:

«Komuś, co Polesia nie zjeździł, nie wlókł się godzinami po piachu, nie jechał smrodliwą kolejką, nie widział tej nędzy, biedy cherlawych Żydów, brudnych dzieciaków tabunami, o jakich w centralnej Polsce nie ma się pojęcia, nie zrozumie, jakie wrażenie robi ten prosty kanał. Oto naraz ziemię przecina szlak szeroki, a wytyczony równo, jak strzelił, rozumną, pewną równością ludzkiej nauki. Wielkim szlakiem toczy się równo woda. Brzegi obramione są porządnie palisadą kotów. Jak okiem sięgnąć – długi, niebieski szlak. W oddali błękitnieje już, nie marszczygię jak tutaj i wygląda jak stalowa autostrada. Nad jego brzegami olbrzymie dęby, rozłożyste, cieniste, wspaniałe. Dębami poznaczony jest szlak kanału. Woda o zabarwieniu rdzawozłotym, żelazistym zabarwieniu wód Dniepru i Prypeci, odbija w sobie niebo, chmury i te wspaniale hetmańskie dęby. (...)

Woda płynie miękko i cicho. Okres spławu i natłoku na kanale to maj. Wtedy niezliczone ilości tratw spływają tą drogą. Całe miasteczka i wsi płyną jako flisacy. W takim Motolu królowej Bony pozostają podobno tylko starcy i Żydzi. Powstanie całych osad łączy się chronologicznie z powstaniem kanału. Dęby, które nad nim szumią, szumią naprawdę stówą.

Nie ma nic tak dziwnego jak ten kanał. Największe, najpotrzebniejsze dzieło, jakie wzniesiono w tym kraju, to on właśnie. A wzniosła go Bzeczpospolita chyląca się ku upadkowi. Nie Rosja, nie Niemcy, dawna Polska. Wzniesiono go w epoce niemal saskiej i niewiele różnej od saskiej: sejmiki i zjazdy wrzały w najlepsze. Wzniósł to hetman, który był kiepskim wodzem, którego wylegującego się z kochanką w namiocie rozbił w puch Suworow. Nigdy Rzeczpospolita nie była tak bezsilna, strupieszała, bezpańska jak wtedy. Nigdy polska myśl temu krajowi nie dała rzeczy większej. «

Ogarnia nas wzruszenie, bo jakże inaczej kanał wygląda dziś! Raczej nie wzbudziłby niczyjego zachwytu. Zniknęły potężne dęby, jego rówieśniczki. Próżno wypatrywać śmiałej, błękitnej wstęgi przecinającej lasy. Kanał biegnie co prawda prostą jak strzelił linią przez las, ale wypełnia go czarna, bagienna, stojąca woda, podobna do tej z otaczających go bagnisk. Jego koryto pokryła rzęsa wodna, a brzegi poosypywały się, zarosły olchami i szuwarami. Nieużytkowany od ostatniej wojny kanał wypłycił się, zarósł, zwęził i upodobnił się do tysięcy innych, bezimiennych kanałów przecinających Polesie. Nie tylko statki czy tratwy, ale nawet zwykłe poleskie łodzie tędy nie przepłyną. Ale mimo wszystko pozostało w nim coś fascynującego, co sprawia, że ruszamy jego brzegiem w stronę odległego Jeziora Wygonowskiego.

Idziemy leśnymi dróżkami pomiędzy kanałem a szosą do Wygonoszczy. Wyższe, piaszczyste miejsca, przez które kanał przebija się szerokim wykopem, porastają sosnowe bory. W miejscach niższych, bagnistych, towarzyszą nam kępiaste olsy i świerkowe mszary. Tu najlepiej widać pozostałości wałów ujmujących kanał i dawnej drogi holowniczej. W niektórych miejscach zachowały się fragmenty betonowych bunkrów i umocnień ziemnych z czasów I wojny światowej, kiedy wzdłuż kanału przez trzy lata stał front. Mijamy leśne uroczyska o nazwach odczytywanych z przedwojennej mapy: Ukłony, Paprotnica, Uznacze, Zastrele, Żurawel. Wreszcie wychodzimy na skraj lasu pod Wygonoszczą. Nad brzegiem kanału stoi tu wysoka wieża triangulacyjna, z której widać jego długi prosty odcinek, ciągnący się na południe, przez lasy, do Telechan i na północ, przez bagna, do widocznego na horyzoncie Jez. Wygonowskiego.

FOTO Z ARCHIWUM
WENIAMINA BYCZKOWSKIEGO



Magia królestwa bagien



Słowo «bagno», czy «błoto» u większości ludzi kojarzy się z obrazem czegoś nieczystego, nieprzyjemnego, odstraszającego. Mroczne bezludne przestrzenie od dawna wywoływały wśród ludzi uczucie wrogości i lęku. Bagiennemu królestwu przez to nadawano stosowne mroczne i bez radosne epitety – głuche, czarcie, martwe..., w wyobraźni «zaludniając» go przeróżnymi stworzeniami i duchami nieczystymi, duszami topielców. Przecież na topieliskach wśród bagien często bez śladu i w tajemniczych okolicznościach ginęli i ludzie, i bydło. Błędne ogniki nad nocnymi bagnami i mokradłami, zagadkowe świetliki, ponure nocne okrzyki zwierząt czy ptaków, pełzająca mgła, fantastyczne, dziwaczne sylwetki krzaków rodziły legendy i bajki o podstępnych bagnikach i ich pobratymcach – bagiennych kikimorach, leszych, rusałkach i dziadach leśnych...

Bagno bagnu nierówne

W świadomości wielu z nas i do tej pory nawet bagno – to trzęsawisko, topiel, błoto. W istocie rzeczy natomiast jest zupełnie inaczej. Człowiek, w jakiejś mierze bliski biologii, pojęciu bagna nadaje zupełnie inny sens. Na przykład, rozróżniamy bagna nizinne, niegdyś zajmujące znaczne obszary Polesia i bagna wysokie, których najwięcej jest na Pojezierzu na północy Białorusi.

Na tych ostatnich ani trzęsawisk, ani czarnej wody nie spotkasz. Woda, pewnie że jest, i nie da rady nie zamoczyć nogi. Chodzić też takim bagnem po kobiercu z miękkich mchów bez wprawy i przyzwyczajenia nie jest łatwo, a podróż nieraz bywa długa. Mech torfowiec «sphagnum» jak gumowa gąbka wchłania wilgoć z powietrza. Stąd też pochodzi i nazwa takiego bagna – wysokie, lub bagno sphagnowe. W odróżnieniu od podstępnych bagien nizinnych, na takim bagnie nie ma ryzyka ugrzęznąć lub

nawet utonąć w trzęsawisku. Rozróżniamy też bagna przejściowe, czyli leśne.

Dla każdego rodzaju bagien istnieją właściwe im społeczności roślinne.

Skarby natury

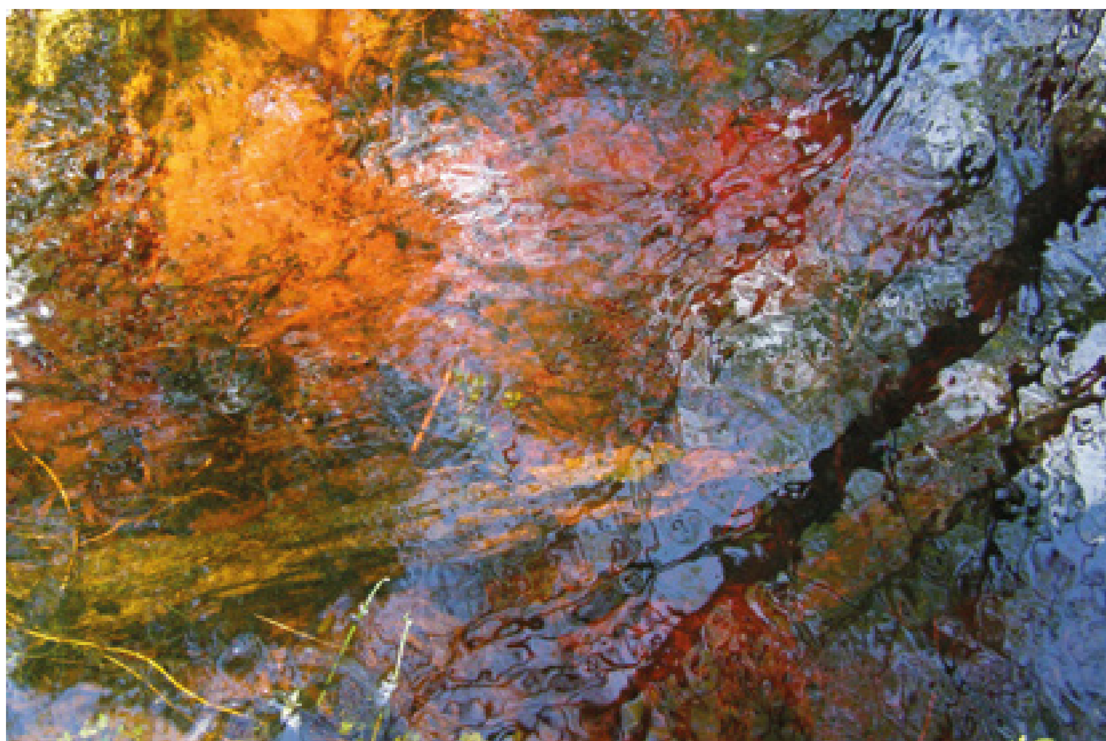
Zdarzają się, owszem, na bagnach moczary i trzęsawiska nie do przebycia, i grożące śmiertelnym niebezpieczeństwem topiele, ale taka już jest natura. Przyroda natomiast bez takich ekosystemów nie może się obejść. Rola ich jest bardzo ważna i różnorodna, co dostrzegł i potrafił docenić jeszcze wybitny rosyjski naukowiec Michał Łomonosow.

Faktycznie, bagna mają wielkie i klimatyczne, i hydrologiczne znaczenie. To naturalne akumulatory i regulatory wilgoci, które wchłaniają nadmiar opadów atmosferycznych, zapobiegając ich gwałtownemu spływu. Natomiast jako olbrzymie zbiorniki wody w ciągu całego roku, szczególnie w okresach deficytu wody zimą i w środku lata, stanowią źródło dla rzek (wszystkie rzeki równinne mają swój początek na bagnach wysokich). W bagnach nagromadzone są olbrzymie zapasy torfu, rudy żelaza, regulują one poziom wód gruntowych i pełnią zapewne jeszcze wiele innych ważnych funkcji, o których nie jesteśmy świadomi. W efekcie końcowym bagna podtrzymują równowagę w wielu procesach przyrodniczych, tworząc swoisty specyficzny mikroklimat, łagodząc gwałtowne skoki temperatury.

Bagna stanowią również doskonałą kryjówkę, będąc ostoją i terenem lęgowym dla wielu gatunków zwierząt i ptaków, rośnie tu wiele cennych gatunków roślin leczniczych i jagód. Tak samo jak i las, roślinność bagienna zawdzięczając procesom fotosyntezy wytwarza ogromne ilości tlenu, mchy sphagnowe natomiast wchłaniają z atmosfery gazy cieplarniane. Więc całkiem uzasadniono bagna nazywają «płucami Europy».

Safari po-białorusku

Błotnisty krajobraz zawsze był cechą odmienną białoruskiej przyrody – tak samo jak bocian czy żubr, które stały się symbolami Białorusi. Właściwie Białorusini, to są «ludzie na błocie». Nawet Mińsk założono w XI wieku na miejscu niskim i zabagnionym, gdzie inne narody w czasie wędrówek nie ważyli się zatrzymać choć »»»



»»» by tymczasowo. I mimo że bagna dawały schronienie i wyżywienie naszym przodkom, stosunek do nich przez dłuższy czas pozostawał wciąż negatywnym, a potocznie używane słowo «błoto» oznaczało wg. S. Ożegowa «środowisko społeczne w stanie zastoju i bezwładności».

I tylko w nasze czasy ten niezasłużony negatywny stosunek uległ zmianie na lepsze: okazało się bowiem, że bagna – to jedna z atrakcji naszej republiki. Nie przez przypadek więc turyści z całego świata jadą na Białoruś, by zobaczyć dziewiczą naturę i nasycić się jej widokami. A pooglądać, naprawdę jest co.

Na wiosnę, gdy matka-natura budzi się do nowego życia, krainy bagienne ulegają bajecznej zmianie: wystrojona w szmaragdy zieleni szata roślinna na białym tle – bagno niby na nowo ukryte jest śniegiem od kwitnących rozmarynu dzikiego i trawy bawełnianej (wełnianki). Latem pstry bagno kobiercem z mchów sphagnowych i różnych traw, zmieniając kolory od delikatnej zieleni do purpurowych. Jesienią natomiast rumieni się żurawinami, stopniowo na zimę przybierając ponownie szatę szaro-burą. Oczom od takiej burzy kolorów tylko rozkosz. Tylko sobie wyobraźcie: na wiele kilometrów dookoła rozpościerają się same trzęsawiska nie do przebycia, aż nagle w samym ich środku znajduje się wyspa z dąbrową lub porośnięta sosnami wydma! Powietrze w takich miejscach jest krystalicznie czyste: oddycha się lekko i chcę się wdychać te aromaty bagienne jeszcze i jeszcze!

Dziewicze krajobrazy

Nigdy, nawet w lata upalne nie wysychające te miejsca, gdzie aż roi się od dokuczliwych owadów, komarów i meszek, jak by to nie wyglądało dziwnie, mają w sobie moc magiczną. Wabią do siebie kryształowo czystym powietrzem przepojonym aromatem dzikiego rozmarynu i sosnowej żywicy, niezwykłą ciszą i nieprzebytymi ścieżkami dzikiego zwierza. Ten człowiek, który choć raz odwiedził tę cudną krainę, »»»









»»» pozostanie oczarowany nią na całe swe życie i wcale nie można się dziwić, że tak wiele poetyckich, lirycznych inspiracji zawdzięczamy magii bagiennego królestwa!

Wskazówki od roślin

Chodzić po bagnach nie łatwo – co raz na drodze spotyka się mokradła i grzęzawiska, albo nogi toną w miękkim kobiercu ze mchów. Najbezpieczniej przemieszczać się więc jest po naturalnych wzniesieniach terenu: piaszczystymi grzędami oraz wydmami. Gdy zaś to nie jest możliwe, należy bardzo uważnie obserwować teren i badać ścieżkę przed sobą. Bowiem na przykład, zielone gatunki mchu, które rosną bardzo rzadko, nie całe 20-50 roślinek na decymetr kwadratowy wskazują że to miejsce jest tak samo niebezpieczne, jak i otwarte oczka czarnej wody wśród błota.

Grząskie i niebezpieczne brzegi jezior bagiennych są obramowane zwykle swoistą «barierą ochronną» z zarośli, które dookoła tworzy bobrek trójlistkowy – jego białe i jasnoróżowe kwiaty niby ostrzegają wędrowców – dalej nie można! Mimo że ta roślina może obywać się i bez podłoża, tworząc gęstą siecią swoich łodyg tak zwane «pło», pływające brzegi fałszywe, które nieraz mogą wytrzymać i ciężar człowieka, ryzykować zapewne nie warto.

Dlatego doświadczony, dobrze obeznany z bagnami wędrowca skieruje się raczej w ten bok, gdzie rosną jakieś krzewy bagienne – rozmaryn (bagno zwyczajne), modrzewnica lub gdzie widać przynajmniej choć pojedyncze wełnianki. Rośliny te swoimi korzeniami wzmacniają darninę ze mchu, przez co teren taki staje się do przebycia.



Historia powstania bagien

Nie mniej ciekawą, niż same bagna, jest historia ich powstania. W odróżnieniu od lasów, pól czy łąk, bagna tworzą się bardzo powoli, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, z wieku na wiek. Trzeba tysiącleci nawet, by się utworzyło bagno wysokie z prawdziwego zdarzenia, torfowisko.

Bagna wysokie (z warstwą zalegającego torfu średnio 3-4 m) tworzą się w warunkach z bardzo ubogim zawarciem odżywki mineralnej. – W przeciwieństwie do bagien nizinnych, które tworzą się na glebach w minerały bogatych, co dostarczają im wody gruntowe. Bagna przejściowe natomiast powstają na skutek zarastania ubogich w minerały i wapń zbiorników wodnych – łączą w sobie więc cechy jednych i drugich: można na nich spotkać i obszerne kobierce ze mchów z żurawiną oraz roślinność

typową dla bagien nizinnych.

Szacuje się, że na Białorusi bagna wysokie powstały około 10-12 tysięcy lat temu, po ustąpieniu ostatniego lodowca wałdajskiego. Jednak okres ich największego rozkwitu przypada na tak zwany «okres atlantycki» (5-8 tys. lat temu), kiedy klimat był bardziej wilgotny i ciepły, niż teraz.

I tak, błota na Polesiu liczą, na przykład, około 11 tys. lat. O 3 tys. lat od nich jest młodsze bagno «Jelnia», o 5 tys. lat – bagna na Witebszczyźnie. Topieliska na tych ostatnich też są o wiele bardziej głębokie – do 9 metrów, gdy wskaźnik ten na bagnach poleskich rzadko przekracza 1,5 metry. Do głównych roślin, z których tworzy się torfowisko zaliczane są różne gatunki mchów-torfowców, wełnianka, turzyca, skrzyp oraz drzewa (sosna, brzoza i in.).

Świadkowie okresu lodowcowego

Na początku okresu tworzenia się naszych bagien klimat na Ziemi był bardziej surowy, arktyczny i w takich warunkach na tych terenach mogły przetrwać stosowne gatunki roślin i zwierząt, które obecnie występują na północy kontynentu, w tundrach. Natomiast razem z ociepleniem klimatu w okresie «atlantyckim» tereny dzisiejszej Białorusi zostały opanowane przez te bardziej «ciepłolubne». Mimo tego jednak, pozostało tutaj także wiele tych roślin i zwierząt «północnych», które potrafiły dostosować się do nowej rzeczywistości.

Dlatego właśnie białoruskie bagna, szczególnie te bagna wysokie, są swoistymi «wyspami tundry» w centrum Europy, a ich mieszkańców całkiem uzasadniono można nazywać świadkami epoki lodowcowej. Są to gatunki-relikty, które przetrwały po poprzednich epokach. Spotykamy wśród nich i przedstawicieli fauny (zając-bielak, kuropatwa biała – inaczej «tundrowa»), jak jeszcze w większym stopniu, flory (bagno zwyczajne, wrzos zwyczajny, żurawina, borówka wysoka i wiele innych roślin).

Pływają na wodzie, na przykład liście, tak bardzo podobne do liści brzozy. Ten sam rozmiar, takaż sama forma, jednak ogonki zupełnie inne, a i liście, gdy się przyjrzeć – nie tak sobie pływają, lecz są zebrane w rozety dookoła podwodnej łodygi. Jest to orzech wodny. Albo zauważysz nieraz wśród zarośli lilii wodnych krótkie gałązki z okrągłymi listkami, podobnymi bardzo do rzęsy drobnej – jest to salwinia pływająca, bardzo rzadki gatunek paproci wodnej, która najczęściej jest spotykana w dolinie Prypeci. – To też rośliny-relikty minionej epoki.

A może spróbował by ktoś odnaleźć jeszcze jedną roślinę-relikt na naszych bagnach – brzozę karłowatą? – Należy przyznać, że nie łatwe to jest zadanie, ponieważ nie jest jej dużo i rośnie zazwyczaj w trudno dostępnym terenie.

Przodkowie tych roślin-reliktów – to są pierwsi «osadnicy» równin przylodowcowych, przypominających współczesną tundrę. W tych surowych warunkach potrafili przeżyć, zachowując unikatową bioróżnorodność bagien, w pierwszej kolejności wysokich. I gdzie jeszcze, w samym centrum Europy zobaczyć można, jak nasza Ziemia wyglądała ponad 10 tys. lat temu?

P.S. W stanie naturalnym pozostało, niestety, już bagien nie wiele. Europa swoje osuszyła już dawno temu. I tylko na Białorusi szumią nie tylko lasy... Bowiem nawet po okresie totalnej melioracji w czasach byłego ZSRR, na szczęście, pozostały na Białorusi jeszcze znaczne obszary kompleksów bagiennych w stanie naturalnym, nienaruszonym. Jest to nasze narodowe bogactwo i unikatowe dziedzictwo. Na większości tych obszarów dzikiej natury obecnie utworzone rezerwaty przyrodnicze, i bagna te są chronione przez prawo.

TATIANA MOISEJEWA
PRACOWNIK NAUKOWY INSTYTUTU LASU BIAŁORUSKIEJ NARODOWEJ AKADEMII NAUK

OPRACOWANIE I TŁUMACZENIE
EUGENIUSZ LICKIEWICZ

NA BRZEGACH «MORZA» HERODOTA


Wschód słońca nad rzeką Lwa

Po raz pierwszy 2500 lat temu nasze Polesie trafiło do historii. Otóż grecki historyk Herodot wymienił plemię Newrów, które wielu naukowców utożsamia z kulturą miłogrodzką początku epoki żelaza, a która obejmowała terytorium na wschód od Pińska. Historyk wykonał opisy przyrody znajdującej się na północ od plemion Scytów, czym zainteresował wielu badaczy dawnych dziejów.

Herodot jeden z takich obszarów opisuje w następujący sposób: «Cała ich ziemia jest pokryta gęstymi lasami różnego gatunku. Wśród gęstwiny leśnej znajduje się olbrzymie jezioro otoczone bagnami i zaroślami trzciny. W tym jeziorze łowią wydrę, bobry i inne zwierzęta z czworokątną mordą…»

Od tego czasu wielu badaczy próbowało rozszyfrować notatki historyka i zlokalizo-wać plemiona Hewrów i Budynów oraz jezioro, które umownie nazwano «Morzem»Herodota. Jednak ta kwestia pozostawała nadal otwartą. Otóż i ja, jako mieszkaniec Polesia i krajoznawca, zdecydowałem się rozpoznać w tym zagadnieniu, lecz w rozszerzonej formie. Na podstawie badań archeologicznych, topograficznych, gruntowo-geologicznych, materiałów i archiwaliów oraz penetracji terytorium przypuszczalnego «morza» starałem się ustalić położenie tego tajemniczego obszaru wodnego, tym bardziej, że wielu badaczy łączy to «morze» z Polesiem. Znając topografie Polesia, określałem położenie «morza» w rejonie Jezior Sporowskich i Jeziora Wygonowskiego, gdzie obecnie znajdują się największe ob-szary bagienne Polesia.

Trudno stwierdzać, że to było morze w dosłownym znaczeniu, jednak należy mówić o dużych obszarach wodnych w regionie poleskim z tamtych czasów. Wątpię, aby to były bagna pińskie, z czym zgadza się szereg badaczy. Obejmują one tereny zalewowe rzek: Stochoda, Prypeć, Pina, Jasiełda i Styr, których wody powodziowe spływają Prypecią do Dniepru bez tworzenia długotrwałych zatopień. Co innego półzamknięte obszary działu wodnego znajdującego się na obrzeżach Przedpolesia, gdzie był i jest potężny zasób wód gruntowych, które razem z opadami at-mosferycznymi zatrzymują się na dłuższy okres w depresjach reliefu.

Na mapie Probsta z 1753 roku, która faktycznie została skopiowana ze starszej mapy Radziwiłła, jest widoczna strefa tego przedpoleskiego wyklinowania wód

gruntowych. Tym warunkom odpowiada strefa wspomnianych okolic jezior.

Analiza materiałów wykazała, że formowanie się jeziorno-bagiennych terenów w tych miejscach zaczęło się we wczesnym halocenie w miejscu suchych dolin rozlokowanych w zagłębieniach terenu. A to jest właśnie północny skraj Polesia. Proccsy formowania się jezior odbywały się ze zmiennym powodzeniem, gdyż warunki klimatyczne zmieniały się gwałtownie. Szczególne nasilenie tych zmian nastąpiło w okresie od 5500 do 500 r. p.n.e. Okres suchy przypada na drugie tysiąclecie p.n.e., gdy wyschły bagna, zaś lasy przesunęły się na północ. Klimat w 6-5 w.p.n.e. zaczął ulegać ochłodzeniu i wzrostowi wilgotności, przez co wzrósł poziom wody w jeziorach całej Europy.

Do wieku VII p.n.e. przyczarnomorskie stepy były zaludniane przez plemiona irańskie Scytów i Gelonów, które w V wieku zaczęły dostarczać Grekom zboże. A to są właśnie czasy Herodota, a stąd i znajomość przez niego ziem przyczamomorskich jak i rozmieszczonych bardziej na północ od terenów Scytów.

Co mogło oznaczać wówczas to «morze»? Obecnie ono jest zajęte zatorfowaną niziną. Należy uwzględnić fakt, że torf w ciągu roku narasta l mm. A więc tam, gdzie jego głębokość wynosiła 1 metr, 1000 lat temu była woda. Analiza gruntowej i geologicznej charakterystyki dna «morza» na powierzchni 28.000 ha wykazała, że płytkie torfowisko głębokością mniej niż jeden metr zajmuje 36% wskazanej powierzchni, zaś głębokością więcej niż 1 m. – 37%, ziemie mineralne – 27%, przy czym te ostatnie są rozmieszczone głównie na wzniesieniach i płytkich pagórkach. Dominuje torf trzcinowy. Wiadomo, że pierwszymi osadami na głębokości mniej niż 1,5 m. z dużych roślin wodnych w jeziorach jest trzcina, co dodatkowo potwierdzi silne nawodnienie tego terenu 2500 lat temu.

W budowie geologicznej i formowaniu reliefu znaczną rolę odegrało zlodowacenie dnieprowskie o sożskie, które pozostawiło po sobie piaszczyste i gliniaste gatunki gleby 0 grubości do 185 cm, przy czym formy nadbrzeżne wyniosły »»»

Rxzeka Lwa



Morze Herodota



»»» się nad doliną na wysokość 4-6 m., a wysp wśród bagien – średnio na 1-2 m. Można zatem dosyć łatwo przedstawić wygląd płytkiego obszaru ze ścianą trzciny, mnóstwem drobnych wysp porośniętych lasem, chmurami ptactwa wodnego, ławicami ryb. Była to zatem idealna kryjówka z obfitym pożywieniem dla starożytnego człowieka. Ludzie ówcześni wiele czasu spędzali na łodziach, o czym świadczą znaleziska dużych ilości cieślic do dłubania łodzi obok wsi Opol. Spoglądając na mapę archeologiczną neolitu i epoki brązu, widzimy dosyć liczne osiedla na brzegach tego morza. Na nie nałożyły się stanowiska, dawne osady i grodziska wczesnej epoki żelaza, tj. czasy Herodota.

Najnowsze badania archeologiczne wykazują, że jeszcze w neolicie brzegi tego morza były zaludnione przez plemiona kultury niomańskiej, a potem kultury łużyckiej, tszynieckiej, ceramiki sznurowej. Najważniejsze zabytki neolitu zostały znalezione w Bobrowiczach, Opolu, Motolu, Nowym Dworze, Kamieniu i Kokorycy. Później na tych ziemiach zjawili się nosiciele kultur epoki żelaza: z zachodu – wschodnio-przymorska, z północy – ceramiki kreskowej i z południowego wschodu – miłogradzka. Przedstawiciele tej ostatniej akademik B. A. Rybaków utożsamia z Newrami Herodota. Naturalnie, w tych czasach nie było wyraźnych granic zasiedlenia plemion. I tak na przykład w Kamieniu rejonu pińskiego znajdują się stanowiska zarówno kultury miłogrodzkiej jak i przymorskiej, zaś na terenach, które były zajęte przez Pomorców w dorzeczu rzeki Narew znajdują się zabytki kultury miłogrodzktej.

Rzeka Lwa na obszarze «morza» Herodota

Herodot pisze, że bardziej na północ od Newrów ziemia jest bezludna, co również można wytłumaczyć. Jeszcze nie było szlaku «od Waregów do Greków». Ludzie przenosili się na małe odległości. Do tego plemiona żyjące bardziej na północ od Polesia, żyły na brzegach rzek i jezior, które dążyły do dorzecza Morza Bałtyckiego i ich kontakty z greckim Przyczarnomorzem były bardzo słabe, o ile w ogóle istniały. Ponadto należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden wniosek naukowców Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi. Otóż w tych odległych czasach

neolitu już istniał podział opisywanego terenu na część zachodnią i wschodnią, a którego granice ciągnęły się z północnego wschodu na południowy zachód po zabagnionych obszarach międzyrzecza rzek Bobryk, Łań i Styr. Podział ten zaczyna się od mezolitu, gdy zjawili się pierwsi ludzie, co występowało również później.

Przymorska kultura na terytorium Białorusi jest jeszcze słabo zbadana, podobnie jak i przynależność plemion. Jedni naukowcy mówią o ich bałtyckim pochodzeniu, inni o wschodniogermańskim. Istnieje także hipoteza o ich słowiańskim pochodzeniu. W rozkopanych cmentarzyskach nie znaleziono narzędzi pracy, dlatego trudno wskazać na ich zajęcia. Przypuszcza się, że podstawą gospodarki była pługowa uprawa roli i hodowla zwierząt. Uprawiano pszenicę, proso, groch i żyto. Hodowano owce i konie.

Kultura ceramiki kreskowej dochodziła na północy do górnego biegu dopływów Prypeci. Ludzie tej kultury żyli głównie w grodziskach rozlokowanych w zabezpieczonych miejscach, przylądkach, osobnych pagórkach. Były im potrzebne tereny zalewowe dla wypasu zwierząt oraz zbiorniki wodne obfite w ryby. Na terenie grodzisk znaleziono dużą ilość narzędzi pracy z kamienia, czy kości, jak np. topory, dłuta stolarskie, strzały, harpuny, haczyki itp. Uprawiano głównie rolę i hodowlę zwierząt, o czym świadczą znaleziska ziaren traw, tarek do ziarna, kości zwierząt domowych, których było więcej niż dzikich. Domowe rzemiosła opierały się na metalurgii i kuźnictwie. Surowcem była bagienna i łąkowa ruda. Plemiona tej kultury miały słabo rozwinięte stosunki z sąsiadami. Odnotowano kontakty jedynie z plemionami zachodnimi, zaś później ustalają się ścisłe stosunki z zarubiniecką kulturą południa.

Po dzień dzisiejszy nie określono dokładnej przynależności etnicznej kultury kreskowej ceramiki, gdyż okres poprzedniej kultury jest mało zbadany, choć wiadomo, że naczynia z ceramiką kreskową pojawiły się jeszcze we wczesnym neolicie na Litwie i Łotwie. Zauważono, że na Szczarze w epoce brązu wszędzie były naczynia z ceramiką kreskową. Ostatni przedstawiciele kultury ceramiki kre-skowej zostali zasymilowani przez plemiona kultury bancerowskiej do połowy pierwszego tysiąclecia n.e.

Kultura miłogrodzka (VII-VI do III wieku p.n.e.)

Na terytorium współczesnej Białorusi obejmowała swym zasięgiem tylko północną część Polesia. Została odkryła w latach 50-tych XX wieku. Plemiona żyły w dawnych osadach i grodziskach, które znajdywały się na wyspach pośród bagien, dobrze zabezpieczonych przylądkach ze specjalnie wzniesionymi umocnieniami w postaci wałów i rowów. Domy «miłogradców» były drewniane, z jednym pomieszczeniem dla jednej rodziny, na wzniesieniach wśród bagien i wody. W ostatnich stuleciach pierwszego tysiąclecia kultura miłogradzka została zdegradowana przez napływ przedstawicieli kultury ceramiki kreskowej z północy i kultury zarubinieckicj z południa.

Na stanowiskach «miłogradców» najwięcej znajduje się ceramiki z ornamentami tylko w górnej części garnków. Znaleziono dużo kamiennych narzędzi, wyrobów z żelaza, jak np. topory, noże, broń, sierpy, tarki do ziarna itd. Kości zwierząt świadczą o hodowli bydła rogatego, owiec, kóz i świń. Ważną rolę w zaopatrzeniu pożywienia odgrywało polowanie. Jego obiektami były łosie, żubry, dziki, niedźwiedzie, borsuki, bobry itd. Poprzez polowanie pozyskiwano 40% mięsa. Dziwną rzeczą wydaje się nieobecność w osadach haczyków, łuski ryb, ciężarków do sieci, co świadczy o bliskości «miłogradców». W gospodarstwie domowym ważnym zajęciem była obróbka metali, tkactwo czy produkcja naczyń.

Reasumując w konkluzji rozlokowanie plemion i kultur wokół «morza» Herodota, w rejonie niziny Sporowsko-Wygonowskiej, można stwierdzić istnienie »»»

»»» na jego brze-gach osad z czasów neolitu aż do epoki żelaza włącznie oraz wyróżnić skupiska osad w rejonie Jezior Sporowskich, Opola, Motola i terenów nieco oddalonych od niego, lecz związanych z nim prądami wody. Jest to rejon Słonimia nad Szczarą, która wychodzi z bagien wygonowskich i Jeziora Pogotskiego połączonego z «morzem» rzekami Wiślica i Bobryk. Oprócz tego rejon «morza» jest jakby neutralną strefą graniczną trzech kultur.

Herodot wspomina jeszcze o jednej tajemnicy, że w ciągu jednego pokolenia do marszu Darija na Scylów (512 r. p.n.e.) Newry opuścili swoją ojczyznę z powodu plagi żmij. Na ten temat jednak istnieje wiele różniących się poglądów. Sądzę, że zaistniałe wówczas zmiany klimatyczne zmusiły gady do zajmowania nowych siedlisk – tam gdzie zamieszkiwali ludzie, co stało się powodem zmiany zasiedlenia ludzi.

Ponadto warto zwrócić uwagę, że szlak poprzez Jezioro Wygonowskie był najkrótszą trasą między Morzem Czarnym a Morzem Bałtyckim, a ponadto była to jedyna droga wykluczająca ciężkie i niebezpieczne przeciąganie łodzi. Tak więc od Prypeci szlak wodny prowadził przez rzeki Bobryk i Wiślicę do Jeziora Wygonowskiego, a stąd po rzece Szczarze do Niemna. Szlak ten został przebudowany w postać kanału przez Michała Kazimierza Ogińskiego w XVIII wieku dla spławu drewna i innych towarów do Królewca.

Przed okresem Waregów w czasach zarubinieckiej i walborskiej kultury na Polesiu już były ścisłe stosunki z greckimi centrami rozlokowanymi nad brzegami Morza Czarnego, o czym świadczą znajdywane w wykopaliskach amfory helleńskie i wczesnorzymskie, scytyjskie dziryty, monety z III wieku p.n.e. z Aleksandrii, szklane korale, monety z II wieku n.e. Imperium Rzymskiego, arabskie i bizantyjskie monety, pierścionki z brązu, bransolety, wisiorki, fibule z celtyckiego Zachodu, czy czerwonolakowa ceramika z czasów rzymskich. W wiekach VII-XI Pińszczyzna obfituje w pierścienie z brązu i srebra, jednostronne grzebienie, które kojarzymy z Wikingami, a które mogły tutaj trafić tylko szlakiem wodnym.

Pozostaje rozszyfrować fenomen nagromadzenia stanowisk, osad i grodzisk w rejonie Słonimskim na Szczarze poniżej jej wyjścia z bagien wygonowskich. Więcej takiej koncentracji zabytków w obwodzie grodzieńskim nie ma. Nie wyklucza się, że ten fakt jest związany z drogą wodną po rzece Szczara i «morzem» Herodota. Nie można sie zgodzić z nim, że bardziej na północ od Newrów teren był bezludny.

Pragnąc zorientować się w jakiejś dawnej historii, zawsze staram się powiązać ją ze współczesnością. W tym przypadku sporządziłem mapę obecnych osad na brzegach «morza» Herodota, prześledziłem w jakim stopniu terytorium «morza» weszło do życia współczesnego społeczaeństwa. Mapa dobrze ilustruje stosunki wzajemne człowieka z przyrodą tych miejsc, gdzie dobrze widać np. intensywne wykorzystywanie bagien powstałych na dnie «morza».

Na jeziorach Sporowskich Zbudowano trzy sowchozy. Dla nich osuszono 21.500 ha z centrami w Sporowie, Tyszkowiczach i Obrowie. W rejonie jeziora Wygonowskicgo również przeprowadzono osuszenie dla dwóch s0wchozów na powierzchni nie mniej niż 10.000 ha. Razem osuszono 85.000 ha z ogólnej powierzchni «morza», która wynosiła 220.000 ha. Równolegle z tym i na znacznej części tego terenu i w różnych czasach były tworzone rezerwaty przyrody. Bardziej na wschód od jeziora Sporowskiego powstał w 1991 roku biologiczny rezerwat czasowy «Sporowski» na powierzchni 11.000 ha. Rezerwat ten wbija się klinem między osuszonymi masywami i odgrywa ważną rolę ochrony przyrody w biologicznej równowadze regionu. Na jego masywie nie ma żadnej miejscowości, natomiast jest dużo roślin i zwierząt, których wykazy znajdują się w Czerwonej Księdze Republiki Białoruś.

Zainteresowanie wzbudza również hydrologiczny rezerwat przyrody «Wygonoszczański» o powierzchni 43.000 ha, który powstał w roku 1968 i uważany jest za najcenniejszy rezerwat czasowy na Białorusi. Ilość gatunków zwierząt tutaj żyjących przewyższa nawet Puszczę Białowieską i Bereziński ścisły rezerwat biosfery. Na jego terenie żyje 53 gatunki ssaków, 221 gatunek ptaków, wszystkie gatunki gadów i ziemnowodnych zwierząt znanych na Białorusi. Ludność zamieszkała w przylegających do rezerwatu miejscowościach do dzisiaj zajmuje się prastarym sposobem eksploatacji przyrody jak np. bartnictwo, zaś w niektórych wsiach można spotkać autentyczny folklor.

Dopiero w drugiej połowie XX wieku dotknęła ten rejon cywilizacja, osuszono bagna, zbudowano drogi, przeprowadzono elektryfikację itd. Przedtem wyspowe wsie Sporowo, Kokoryca, Obrowo, Korocin, Światyca, Bobrowicze, Wygonoszczy, Nowosiółki, Tuchowicze miały tryb życia swoich przodków. Z tych powodów teren ten budzi zainteresowanie etnografów i folklorystów. Próbę utrwalenia odgłosów przeszłości również i ja podjąłem poprzez kamerę video. Nakręciłem film w rejonie pińskim na byłej gianicy rozszerzania wschodniopomorskiej i miłogradzkie kultury, których stanowiska odkryto we wsiach Łasick, Ostrów, Wisznia i Pare, skąd pochodzą piosenki oraz autentyczny folklor, czy tańce ze wsi Dobrosławka.

Pragnąłem także zwrócić uwagę na możliwość istnienia dużych obszarów wodnych w innym miejscu obwodu brzeskiego w czasach Herodota, lecz tego nie można potwierdzić. Jeżeli przeanalizujemy rozmieszczenie torfowiska w obwodzie, zobaczymy, że płytkie torfowisko wynosi 81%, zaś torfowisko o głębokości więcej niż 2 metry – zaledwie 5%, co wykluczało by w tamtych czasach istnienie olbrzy-mich i wygodnych do pływania powierzchni wodnych.

Jak wynika z powyższego temat «morza» Herodota jest ciekawy, wieloaspektowy i nadal oczekuje na specjalistyczne badania.





Rzeka Lwa latem

Na zakończenie wspomnę jeszcze o jednej zagadce «Historii» Herodota, w której pisze: «W strefie położonej jeszcze bardziej na północ od ziem Scytów zgodnie z przekazaniem nie można nic zobaczyć i tam nie można dotrzeć zza łatających piór. Rzeczywiście, ziemia i powietrze są pełne piór, a to przeszkadza wzrokowi». Naturalnie, chodzi tutaj o śnieg.

TEKST I FOTO:
ALAKSIEJ DUBROUSKI

Kościół p.w. Wniebowzięcia NMP w Mozyrzu

// Anna Godunowa

TRUD PIELGRZYMI KSIĘDZA JÓZEFA DZIEKOŃSKIEGO

Data ur.: 16.01.1948, Wyszowate, pow. Mońki;



Święcenia kapłańskie: 08.06.1986, Warszawa;

Przynależność: Archidiecezja Warszawska;

Ewangelizacja, kraj: BIAŁORUŚ.

Okres: od 1990 do 2011.

Diecezja pińska: od 1990 do 2006 w parafii w Mozyrzu p. w. Wniebowzięcia NMP. Organizacja parafii, odbudowa kościoła św. Michała, praca duszpasterska, przygotowywanie do sakramentów świętych. Miejsca dojazdowe: Chojniki (budowa kościoła), Petryków, Oktiabrskij, Potasznia, Kalinkowicze, Kruszniki, posługa proboszcza i dziekana. Od 2006 do 2011 praca w parafii p. w. Podwyższenia Krzyża św. w Baranowiczach oraz dojazdowej, oddalonej o 30 km, parafii w Lesnaja p. w. M.B. Anielskiej. Obowiązki proboszcza, dziekana, praca duszpasterska. Przyczynił się do zarejestrowania nowej parafii p. w. św. Jana Pawła II, w nowym rejonie Baranowicz «Borowki». Moderator «Legionu Maryi» na Białorusi (dekret kard. K. Świątka).

Do której parafii na Białorusi ksiądz był skierowany i jakie były początki księdza posługi?

Przybyłem do miasta Mozyrz, na terenie należącym do «strefy skażenia czarnobylskiego», gdzie nie było parafii od początku lat trzydziestych XX wieku. Gdy przyjechałem na Białoruś w 1990 roku, był jeszcze Związek Radziecki. Zostałem skierowany do Mozyrza, przez bpa Tadeusza Kondrusiewicza, z obowiązkiem zgłoszenia się do ks. prałata

Kazimierza Świątka, w Pińsku, wikariusza generalnego (późniejszego kardynała) tegoż biskupa. Z trudem otrzymałem od władz sprawkę, czyli państwowe pozwolenie na posługę kapłańską, ograniczającą mnie tylko w posłudze duszpasterskiej do miasta Mozyrza (110 tys.). Gdy przyjechałem do Mozyrza, wówczas zorientowałem się, że jest nas tylko dwóch na całym tym terytorium: ks. Sławomir Laskowski, który do tej pory jest na Białorusi i pracuje w Homlu, oddalonym o 160 km od Mozyrza oraz ja. Cały teren leży w strefie skażenia promieniotwórczego, po wybuchu elektrowni atomowej w Czarnobylu. W Mozyrzu nie było od dziesiątków lat ani świątyni, ani parafii katolickiej. Byli tylko ludzie, których też trzeba było szukać i zgromadzić. Przez pierwsze dwa miesiące mieszkałem u pewnej rozbitej rodziny, bo żyła tam tylko matka Maria Zacharienko z córką Ludmiłą. Tam też odprawiałem codziennie Mszę św. w pokoju, w którym czasowo zamieszkałem. Od samego początku zająłem się odzyskiwaniem budynku kościoła, który od lat był nieczynny. Był on własnością państwa, mocno poprzerabiany i zdewastowany. Nie był znany dawny tytuł tego kościoła. Dopiero po jakimś czasie okazało się, że jest pod wezwaniem św. Michała Archanioła. Żeby zacząć starać się o zwrot kościoła, trzeba było najpierw zarejestrować parafię. W Mozyrzu było wtedy około 110 tys. mieszkańców, a katolików, których udało mi się po latach odnaleźć, było około 300. Zacząłem więc od odszukiwania wiernych. Otrzymywałem informacje w dwojaki sposób: od chorych, do których najpierw docierałem ze Spowiedzią i Komunią św., a także, gdy chodziłem po wioskach. Wchodząc do domu mówiłem: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus». Jeśli ktoś odpowiedział: «Na wieki wieków. Amen», to oznaczało, że jest katolikiem. Takie rady dawał przyjeżdżającym kapłanom do pracy na Białoruś ks. prałat Kazimierz Świątek. Dzięki temu udało się dotrzeć do wielu wiernych, w okolicznych miejscowościach. Na Paschę, po kilku latach, gdy już był odebrany kościół, można było naliczyć 120 osób; zimą było ich mniej, ok. 70 osób, na dwóch Mszach św. w niedzielę i święta. Widząc potrzeby duchowe wiernych okolicznych miejscowości, nie zważałem na zakazy władz państwowych. Pracowałem więc w ukryciu, niosąc ludziom posługę kapłańską także w Lelczycach, Gruszowce, powiecie Narowla i innych wioskach. Po dwóch miesiącach szesnastoletni chłopiec, Witalis Myszona, który obecnie jest kapłanem i pracuje w parafii w Lelczycach, powiedział mi, że jego starsza krewna wyjeżdża na Ukrainę. Będzie więc wolne mieszkanie i potrzebny jest ktoś, kto mógłby zaopiekować się tym mieszkaniem. Opłaciłem więc za pokój z góry, po 30 rubli za miesiąc, i zamieszkałem. W pokoju nakleiłem na ścianach stacje drogi krzyżowej. W krzyżu drewnianym, złożonym z dwu części, w kształcie dawnego piórnika, zasuwanego, otrzymanym kiedyś od kolegi Leonardasa Januszkasa, poszerzyłem otwór i włożyłem naczyńko dla olejów św., takie większe, w którym mogłem pomieścić około 10 konsekrowanych komunikantów, które tam wmieszczałem. Ażeby dostać się do krzyża, trzeba było wejść na krzesło i wspiąć się. I krzyż wtedy można było zdjąć lub powiesić, dlatego nikt nie mógł sprofanować tam Najświętszego Sakramentu, nawet mężczyzna największego wzrostu. Nikt się nie domyślał, że ten krzyż to – ukryte małe tabernakulum. Było to pierwsze tabernakulum w tym mieście, od lat trzydziestych dwudziestego wieku, gdy biskup Tadeusz Kondrusiewicz dał mi pozwolenie, aby w bloku mieszkalnym przechowywać Najświętsze Dary. W ten sposób, w mieszkaniu był Najświętszy Sakrament, ewenement w sowieckich czasach, gdzie nie było jeszcze kościoła. Cały blok mieszkalny był jakby świątynią. Bóg pod postacią chleba zamieszkał pośród grzeszników. W mieście o którym św. Filip mógłby powiedzieć: «Czy może być coś dobrego z Mozyrza». To była mądrość biskupa, i zaufanie do duszpasterza, że da radę skutecznie przechowywać Komunię św. w takich warunkach. Zaufał, gdy dał takie pozwolenie, na przechowywanie Najświętszego Sakramentu. Od tego momentu, gdy ktoś przyjeżdżał, żeby odprawić Mszę św., to potem mogłem pójść do »»»

»»» chorego i zanieść mu Komunię św., zostawiając w tak ukrytym tabernakulum, Komunię świętą dla innych chorych. I tak w mieszkaniu tym spędziłem cztery miesiące, bo nieoczekiwanie przyjechała właścicielka. Po krótkim czasie musiałem się wyprowadzić. Na szczęście znalazła się inna osoba, Teresa, wdowa po wojskowym, która przyjęła mnie, ale nie na długo, gdyż przestraszyła się, że może mieć kłopoty, z powodu przechowywania u siebie księdza.

Jak wyglądała organizacja parafii w Mozyrzu?

Jak widać na początku, gdy jeszcze trwał ZSRR, ludzie jeszcze się bali, ale powoli zaczęli się gromadzić w niedzielę na Mszę świętą. Ponieważ kościół nie był jeszcze oddany, więc gromadziliśmy się przed budynkiem byłego kościoła, jak mówiliśmy, i tam odprawiałem Mszę św. Zabytkowy dawniej kościół, ufundowany w 1743-45 roku, zamieniono na Białoruskie Centrum Wioślarstwa. Podzielono na trzy piętra: na dole były sztangi do podnoszenia ciężarów, na drugim «etażu» rozbieralnie, a na trzecim – sala sportowa do rzucania ciężkimi piłkami. Raz czy dwa, udało nam się wejść na górę, na najwyższą kondygnację, aby odprawić Mszę św. w niedzielę. Jako ołtarz służyły wtedy dwie długie ławki gimnastyczne, które stawialiśmy jedna na drugiej. Ktoś przynosił obrus, ja korporał i kielich. Wyciągałem z torby ornat oraz albę i ubierałem się. Dla pięciu lub sześciu osób celebrowałem Mszę św. Tyle tylko było na początku. W niedzielę była tam Msza św., o ile pozwolili nam wejść. Ale, jeśli budynek był zamknięty, to Msza św. była sprawowana przed jego drzwiami. Pewnego razu, gdy właśnie przed budynkiem odprawiana była Msza św., na ulicy, która jest o trzy metry wyżej od kościoła, stał pijany mężczyzna, i cały czas podczas jej trwania, przeklinał. Przypominam sobie też taką sytuację, w tamtych dniach, aż do dziś mi to stoi w oczach – chodząc po terytorium wokół oddanego już budynku byłego kościoła, spostrzegłem, że nieopodal, w kałuży, pływa coś białego. Podchodzę i widzę mokrą kopertę leżącą na wodzie. Nadawca: Prymas Polski, więc zdziwiony podnoszę. Okazało się, że to jest list adresowany do mnie od ks. prymasa kard. Józefa Glempa. Być może dlatego, że zmieniałem miejsce zamieszkania, a ludzie nawet niewierzący, wiedzieli, że ksiądz musi przychodzić do kościoła. Jak widać skrzynką pocztową okazała się kałuża.

W jaki sposób udało się odzyskać zabytkowy kościół, kiedy odbyła się jego rekonsekracja?

Zarejestrowaliśmy parafię jako instytucję religijną, mającą osobowość prawną. I wówczas na naszą prośbę, jako organizacji religijnej, władze miasta zgodnie z prawem Gorbaczowa, o wolności organizacji religijnych, zwróciły nam kościół. Tak się złożyło, że oddano nam budynek w święto św. Łukasza Ewangelisty, w 1990 roku, w stanie opłakanym. Jednakże kto przyglądał się i zobaczył w jakim stanie znalazła się świątynia, ten nie mógł powstrzymać łez.

Kościół nam oddali, ale sportsmeni-kajakarze mieli jeszcze tam przez pewien czas swoje zajęcia. Kościół i przylegający do niego klasztor cystersów, został ufundowany w tym samym roku co kościół i zamieniony na internat. Dnia 1 listopada 1990 roku, oddano nam również część budynku klasztornego, ale w dalszej części sportowcy zajmowali jeszcze część parteru i całe piętro. Swoją część musieliśmy odgrodzić, aby jakoś funkcjonować. Poprosiłem, aby mi dali jakieś pomieszczenie na zakwaterowanie, bo jeśli mnie tutaj nie będzie to wszystkie zebrane materiały budowlane zostaną rozkradzione. Architekt się zgodził, więc zaczęliśmy budować ściankę działową, bo na początku nie mieliśmy nic, ani materiałów, ani pieniędzy. Przyszła mi taka myśl i zadzwoniłem do wioski Gruszówki i poprosiłem, aby każda kobieta wzięła w torebkę foliową cementu ile może i aby to przywieźć ze sobą. Natomiast mężczyźni niech także przyjadą, szczególnie ci, którzy umieją kłaść cegłę. Kobiety rozbijały zwalone słupki parkanu, z białej cegły – i z



wnętrza kościoła też przynosiły i oczyszczały porozwalane cegły. Piasek natomiast zbieraliśmy po terytorium – tam gdzie tylko był. Koniecznie bowiem musieliśmy się odgrodzić. I tak zbudowaliśmy ściankę wysokości ok. 4 m. Byłem urzeczony. Nie widziałem jeszcze, aby ludzie podczas pracy, cały dzień śpiewali pieśni religijne po polsku, tak jak je zapamiętali. Do dziś jeszcze ten śpiew w uszach słyszę. Mężczyźni murowali, a kobiety czyściły i przynosiły cegły. Cały dzień pracowaliśmy. W ten sposób myśmy się odgrodzili. W tym czasie gdy oni budowali ściankę działową, ja zamontowałem swój zamek, bo miałem ze sobą z Polski różne potrzebne instrumenty. I tak powstało własne pomieszczenie do odprawiania Mszy świętej, każdego dnia – korytarz byłego klasztoru. Do niego przylegały pomieszczenia dla przyszłej parafii.

Przybliżał się rok 1991, rok wielkich i oczekiwanych przemian, już pod koniec 1990 roku zaczęli pojawiać się kapłani z Polski. Do Narowli przyjechał ks. Stanisław Sałata ze Zgromadzenia Misjonarzy św. Rodziny. Zaraz po przyjeździe miał bardzo niebezpieczny wypadek samochodowy – mógł zginąć. W końcu września 1990 roku, przyjechał do Lelczyc ks. Zbigniew Bojar, ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa. W ciągu dwóch lat wybudował kościół. A jeszcze przed przymrozkami zdążył położyć blachę na dach kościoła. Mało tego, on jeszcze jeździł przez Mozyr, skąd miał ok. 85 km do mnie, a potem jechał dalej 85 km do Petrykowa. To on tam jako pierwszy po dziesiątkach lat, zaczął odprawiać Mszę św., gdy ja wcześniej znalazłem mu tamtejszych wiernych.

Szukałem wiernych w tym rejonie w ten sposób. Wszedłem do jakiejś wioski od domu do domu i mówiłem: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus». Jeśli ktoś mówił: szto? szto? – szedłem dalej, ale jeśli odpowiedział: «Na wieki wieków. Amen», to już był to, znaleziony właśnie, katolik. I pytałem, kto tu jest katolikiem w tej wiosce lub jakich jeszcze znacie katolików z tej wioski, lub z innej (taka była moja siatka do łowienia) i w ten sposób znalazłem w petrykowskim rejonie wioski, gdzie byli katolicy. Petryków (była to własność Chodkiewiczów, gdzie sam Chodkiewicz osadził tam Tatarów – widać to było po twarzach mieszkańców.

W Mozyrzu, zanim kościół był poświęcony 29.09. 1995, to przez pięć lat »»»

»»» modliliśmy się najpierw w tym korytarzu klasztornym, który miał 20 m długości i ok. 3,20 m szerokości. Ławki były przez ludzi zrobione. Heblowałem ręcznie deski sosnowe, razem z jednym z mężczyzn, który je wykonywał według mego pomysłu. Ławki postawiliśmy wzdłuż ściany; ludzie siedzieli nie twarzą, a bokiem do ołtarza. Na 1 listopada 1990 roku była pierwsza Msza św. w tym budynku odzyskanym. Ks. Zbigniew Bojar przywiózł wtedy z Lelczyc cały autokar ludzi, aby oni pierwszy raz byli na Mszy św. w pomieszczeniu.

Zaczęło się to od biskupa T. Kondrusiewicza, który tuż po konsekracji biskupiej objeżdżał wszystkie miejscowości, tam gdzie była jakaś wspólnota katolicka. Najpierw przyjechał do Mozyrza, 12.07.1990 roku. Przyjechali wtedy także: ks. prałat Kazimierz Świątek, wspomniany wikariusz generalny diecezji , ks. Żylis z Indury, jezuita, Litwin oraz także jezuita, ks. Aleksander Jacyniak, który był na konsekracji biskupa Kondrusiewicza. Ks. Żylis (wtedy na tym piętrze była pierwsza Msza św. nam pozwolili, bo biskup przyjechał, w czasie kazania bpa Kondrusiewicza wszyscy płakali i on też płakał, wypowiedział takie słynne zdanie,

«Ciażka dola wypała na Biełaruskuju ziamlu. Kosa Czernobyla kasiła i kasit...ale bolsz drenny czym kosa Czernobyla jość «czernobyl duszy» – grech». Po tych słowach wszyscy wtedy płakali. Po Mszy św. ks. bp Kondrusiewicz powiedział, że przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie jeszcze przyjechać i poświęcić ten kościół. Ja w to jeszcze nie wierzyłem, bo kościół był w strasznym stanie, to był koszmar, nie będę opowiadał w szczegółach jak to było – ale mogę tylko powiedzieć, że to nie ja, to Pan Bóg tak sprawiał, że wszystko się udało zrobić. Pamiętam, że na tydzień przed poświęceniem kościoła jechałem jeszcze w okolice Zakopanego, aby przywieźć figury aniołów na ołtarz – dzisiaj powiemy, że to szaleństwo. Najtrudniejsze było przewiezienie figur przez granicę, odprawa celna. Pojechaliśmy do Warszawy do ks. prałata Maja, który podarował nam nowe tabernakulum do kościoła. Prosiłem siostry, które tam pracowały, żeby modliły się do zmarłych celników. Przyjechaliśmy na granicę, polscy celnicy szybko postawili nam pieczątkę, ale gdy poszliśmy do białoruskich – myślę sobie co tu powiedzieć.

Przyszła mi pewna myśl, więc pytam: «a wy znajecie kakoj siewodnia prazdnik? (czy wiecie jakie jest dzisiaj święto?). Oni: a kakoj? (jaki?). Odpowiadam: Swiatowo Matwieja – a on był tamożnikam (św. Mateusza, a on był celnikiem). Celnicy na to: Eto znacit, szto siewodnia można pić? (To znaczy, że dzisiaj można wypić?). I zaczęli się mocno śmiać. Tak się tym rozbawili, że postawili pieczątkę i bez problemu przejechaliśmy granicę. A powinni zażądać procedury tzw. wsadu.

Ciekawa jest historia obrazu M. B. Jurewickiej. Oryginalny obraz z Jurewicz na Białorusi, znajduje się w kościele jezuickim św. Barbary w Krakowie. Obraz ten był w Jurewiczach. Kościół w którym był obraz, trzynawowy, porównywalny z kościołem św. Krzyża w Warszawie, został zdewastowany; m. in. jedna nawa rozkradziona. Ponieważ po moim przyjeździe, czyli po roku 1990, nie znalazłem w Jurewiczach praktykujących katolików, oprócz jednej starej babci i decyzji kard. K. Świątka, że na razie nie będziemy walczyć o odzyskanie ruin świątyni od państwa. Jednak prawosławny bp Piotr przejął to od państwa i umieścił tam swoje zakonnice, a potem prawosławni odbudowali świątynię, w którą przebudowali i zamienili na cerkiew. Co do obrazu słynącego łaskami, dla którego pobudowano tę piękną świątynię murowaną, rzeczy mają się tak. Został za proboszczowania ks. Hugona Godeckiego zamieniony na kopię, ze względu na przewidywane zamknięcie kościoła przez władze carskie. Przechowany przez panią Horwattową został wywieziony do Krakowa i umieszczony w kościele jezuickim św. Barbary, w specjalnie przygotowanej tam kaplicy, ponieważ wcześniej należał do jezuitów w Barze. Natomiast znalazła się mężatka, która w stanie błogosławionym, namalowała kopię obrazu krakowskiego Matki Bożej Jurewickiej. Obraz został poświęcony podczas rekonsekracji naszego kościoła w Mozyrzu, w roku 1995



i tam pozostał. Od tamtej pory, za mojego proboszczowania w Mozyrzu, odbywały się coroczne pielgrzymki z Jurewicz do Mozyrza.

Na rekonsekrację odnowionego kościoła, ks. kard Kazimierz Świątek nie mógł przyjechać, ponieważ był w szpitalu. W jego imieniu przyjechał ks. Kazimierz Wielikosielec, wikariusz generalny diecezji pińskiej i dokonał rekonsekracji naszego odnowionego kościoła w 1995 roku. Wkrótce też został sufraganem diecezji pińskiej.

Oprócz parafii w Mozyrzu ksiądz dojeżdżał jeszcze do wielu wiosek, jak wyglądała posługa kapłańska w tych miejscach?

Miałem pełne ręce roboty. Miasto powiatowe, Chojniki, wziąłem pod duszpasterską opiekę i zacząłem tam obsługiwać katolików których znalazłem; wszystkie soboty były przeznaczone na takie wyjazdy: Po wyjeździe ks. Zbigniewa Bojara w każdą sobotę rano, na g.10, jeździłem do Petrykowa (powiat). Odprawiałem tam Mszę św. niedzielną przez całe dwa lata. Jeździłem też, w inne soboty wieczorem, do Oktiabrskiego – 102 km w jedną stronę. Kalenkowicze podobnie; i jeszcze była taka wioska Kruszniki, oddalona o 74 km od Mozyrza – tam była dość duża grupa katolików. W tej wiosce przypominam, jak pewnego razu poproszono mnie abym przyjechał na pogrzeb. Zajeżdżam i widzę zmarłą kobietą; leży na łóżku, a oni jeszcze piłą rżną i heblują deski, z której robią trumnę. Czekałem aż ją do niej położą. Potem była Msza i pogrzeb.

Gdy utworzyły się parafie, to oddałem te parafie w powiatach, a na ich miejsce odnajdywałem inne, które wymagały duszpasterskiej, opieki np. wioska Potasznia, gdzie ludzie zachowali sprzed wojny komżę i krzyż. Gdy nie było księdza przez te lata, to ktoś tam kogo uważano za najbardziej godnego zakładał komżę podczas pogrzebu, brał krzyż i prowadzono kondukt na cmentarz (właśnie dziadek tego obecnego ks. Witalisa, jeździł po tych wioskach i prowadził pogrzeby). Po poświęceniu kościoła w Mozyrzu przebywałem tam jeszcze dziesięć lat i zbudowałem kościół w Chojnikach w 2003 roku; budowa kościoła tego na odległość, to nie było łatwe. W Mozyrzu trudność była taka, że był to barokowy zabytek, potrzebna była dokumentacja. Rekonsekracja kościoła odbyła »»»

»»» się w 250 lat po jego zbudowaniu i poświęceniu. We wspomnianych Chojnikach modliliśmy się najpierw po domach; jeździłem tam co tydzień. Spotykaliśmy się po różnych domach, a czasami gospodarze mówili, że więcej już nie mogą nas gościć. Wydawało nam się, że pójdziemy na ulicę, a chodziło tam około 6-8 babć. Tymczasem władze rejonowe zgodziły się, i oddano nam do użytku, pusty piętrowy budynek z przylegającym do niego kawałkiem ziemi (25 arów), prawie w centrum miejscu tego miasta powiatowego. Spadło nam to, jak z nieba. Wyburzyliśmy niepotrzebne ściany, zabraliśmy się do wzmocnienia pozostałych. Robił to architekt z Warszawy, (Korzeniowski) który zajmował się odnawianiem kościoła w Mozyrzu. O ile budowę zacząłem od 1997 roku, budowę tego kościoła, to wcześniej, od 1990, raz w miesiącu jeździłem do nich. Kościół był gotowy dopiero po 13 latach, w 2003 roku, roku Różańca św. Była taka sytuacja, że nie można było dostać piasku – cement można było – ale nie było jeszcze płytki na posadzkę. Właśnie było wspomnienie św. Jana Vianey'a (rano tam wyjeżdżaliśmy, a wieczorem przyjeżdżaliśmy – samochód w zasadzie był domem i kaplicą w tym czasie) Dzwonię z Chojnik do Kardynała i proszę o spotkanie, aby poświęcić kościół. Chciałem na pierwszą sobotę miesiąca października; był pod wezwaniem Wniebowzięcia M.B.

Katechizowałem w Mozyrzu przez 15 lat, i z tej parafii wyszedł kapłan Witalis – obecnie proboszcz w Lelczycach. Była też dziewczyna, która później rozpoczęła studia w instytucie pedagogicznym Alona. Pewnego raz przynosi dość dużą sumę pieniędzy i ofiaruje ją na kościół. Pytam ją dlaczego tak dużo – odpowiedziała mi – to jest moje pierwsze stypendium i chciałam ofiarować je na kościół. Potem zaczęła chodzić codziennie do kościoła. Obecnie jest siostrą zakonną, w zgromadzeniu od Aniołów.

W jaki sposób Legion Maryi, którego ksiądz był wieloletnim opiekunem realizował wtedy założone cele?

Otrzymałem jeszcze w tym samym roku, 2003, dekret we wspomnienie M.B. Śnieżnej od ks. Kardynała, abym zajął się «Legionem Maryi», który już był założony wcześniej przez ks. Jerzego Mazura (bpa diecezji ełckiej) i abym był jego duchowym opiekunem. Jeździłem z Mozyrza do Mińska co miesiąc – całą noc 300 km w pociągu – aby prowadzić spotkanie, na które przyjeżdżali legioniści Maryi z całej Białorusi. Zajmowałem się tym Legionem do 2006 roku, gdy do Mińska przybył biskup Antoni Dziemianko, który był administratorem Archidiecezji Mińsko-Mohylewskiej. Na moją prośbę został wybrany inny opiekun duchowy – ja wtedy pozostałem moderatorem diecezji Pińskiej. «Legion Maryi» pełnił ważną funkcję ewangelizacyjną; podam taki przykład. Pewna starsza pani przyjeżdżała do Mińska do kościoła z odległości około 74 km. Biskup dowiedział się w jakiś sposób o tym i zapytał ją czy tam, gdzie ona mieszka są jacyś katolicy – na co ona odpowiedziała, że tak. Wtedy zwrócił się do nas legionistów i poprosił, aby tam pojechać i znaleźć innych katolików tego miasta. Legioniści wszyscy się modlili, a sześć osób pojechało do tej miejscowości, podzieli się po dwoje i jedni poszli na dworzec, inni na bazar, a jeszcze inni na ulice. Po powrocie przywieźli mi nazwiska i adresy – było 12 osób z adresem; oddałem to biskupowi, a on posłał tam kapłana i obecnie jest tam parafia. W 2003 roku rozpocząłem tradycję rekolekcji zamkniętych dla legionistów całej Białorusi, w Baranowiczach, u księży Werbistów i po dziś dzień te rekolekcje trwają. Przyjeżdża ponad 150 osób.

Jak wyglądała posługa duszpasterska w Baranowiczach?

Trzecia moja funkcja, to kiedy w 2006 roku zostałem przeniesiony do Baranowicz. Zostałem tam dziekanem i proboszczem parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Dekanat już w roku 2007 został podzielony na dwa dekanaty, w tym miasto było podzielone. To wtedy zacząłem pisać do «Dialogu» eseje – tematycznie przedstawiane n. t. «W kręgu

roku kościelnego»; związane z miesiącami konkretnymi roku kościelnego. Pięć lat , czyli od 2006 roku do 2011 pisałem eseje do «Dialogu» – miesięcznika wydawanego przez Księży Werbistów. W Baranowiczach, gdzie pracowałem była bardzo duża wspomniana parafia, a ja byłem praktycznie sam, tylko na jeden rok przysłano do pomocy księdza wikariusza, a w następnym on jako neoprezbiter został wysłany na samodzielną parafię; byłem sam i nie mogłem nadal opiekować się «Legionem Maryi». W Baranowiczach była praca duszpasterska w pełni tego słowa znaczeniu. Ponieważ nie otrzymałem przedłużenia wizy, dlatego musiałem wrócić do Polski. Mogę powiedzieć, że przyczyniłem się, aby była zarejestrowana nowa parafia w Baranowiczach na Borowkach, tj. nowe osiedle. Gdy wyjeżdżałem była już zarejestrowana parafia p. w. św. Jana Pawła II. Przy kościele w Baranowiczach, był budynek gospodarczy; był odnowiony i była kuchnia dla biednych, a gdy fundusze jeszcze były, to został także pomalowany kościół z zewnątrz: ściany i dach.

Jak Ksiądz dzisiaj widzi swoją posługę na Białorusi, szczególnie że służył tam tyle lat a zwłaszcza w strefie czarnobylskiej i jak wspomagał odradzający się Kościół?
Jakie wrażenia z tamtego czasu pozostają dzisiaj?

Po dwóch latach od przyjazdu na Białoruś, zostałem mianowany dziekanem dla katolików całej Homelskiej obłasti (województwa). Gdy przybyłem do Mozyrza, w roku 1990, to nie było w całym tym województwie ani jednej parafii katolickiej. W 1992 roku powstał już dekanat Mozyrski, w ramach diecezji Pińskiej. Był on w jakimś sensie wznowionym dekanatem, z dawnego dekanatu Mozyrzsko-Rzeczyckiego, którego ostatnim dziekanem był ks. H. Humnicki. Wspominam to dlatego, że chociaż na około sześćdziesiąt lat ustało życie parafialne na tym terytorium, to dawni katolicy świeccy przekazywali w różny sposób swoją wiarę swojemu potomstwu; choć duchowieństwo było całkowicie zlikwidowane a świątynie katolickie zupełnie zrujnowane albo zbezczeszczone i przystosowane do innych celów przez władzę sowiecką. To prawda, że spotykałem ludzi dorosłych nieochrzczonych, lecz było to rzadkością. Większość to byli ochrzczeni przez księdza, często potajemnie, w nocy; niektórzy byli ochrzczeni z wody przez kogoś z rodziny lub innych katolików. Prawo Gorbaczowa o wolności wyznania i organizacjach religijnych, przyniosło dla całego Związku Sowieckiego, a w szczególności taką wolność i wiosnę Kościoła dla diecezji Pińskiej. Ks. Kazimierz Świątek, konsekrowany na biskupa w roku 1991, już w rok później, stworzył organizację poszczególnych dekanatów oraz tam gdzie to było możliwe, sieć parafii wchodzących w skład danego dekanatu. W cztery lata później, w roku 1996, rozpoczęły się posiedzenia i obrady Synodu Archidiecezji Mińsko-Mohylewskiej i Diecezji Pińskiej. Rozpoczęła się prawdziwa odnowa Kościoła partykularnego na Białorusi. Dekanat Mozyrski miał oddzielny zespół dekanalny tegoż Synodu; zespół uczestniczył w obradach, a jego przedstawiciele, w tym świeccy, reprezentowali dekanat na ogólnych obradach sesji Synodu. Zostało stworzone i zatwierdzone przez kardynała Świętka i Stolicę Apostolską, Prawo Synodalne, nie wykraczające poza Kodeks Prawa Kanonicznego, lecz uwzględniające specyfikę i pewne zwyczaje paraliturgiczne, i inne, w różnych wspólnotach ludu Bożego tego terytorium. Obecnie to już historia, lecz wnosząca novum w to co było w poprzednich wiekach. W międzyczasie powstał Mszał Rzymski w języku białoruskim, pierwszy w całym Kościele powszechnym, przedstawiony papieżowi przez Kard. K. Świątka i zatwierdzony do użytku na Białorusi przez św. Jana Pawła II. A zatem w parafiach diecezji Pińskiej, w liturgii, pojawił się w użyciu na co dzień język białoruski, obok języka polskiego. A język polski, chociaż prześladowany, to jednak tolerowany przez miejscowe władze centralne. Niemała w tym zasługa kardynała Kazimierza, ze względu na jego »»»



»»» zdolności dyplomatyczne i autorytet u władz białoruskich. W ramach wspomnianego Synodu w dekanacie Mozyrskim odbył się Kongres Powołań dla młodzieży. Trudnością w nim były wielkie odległości pomiędzy parafiami, w tym dekanacie (20-160km), jednakże gorliwi kapłani przywieźli swoim środkiem transportu swoich młodych aktywnych parafian, dla których miejscowe młode duchowieństwo męskie i żeńskie opowiadało, o swojej drodze powołania do wyłącznej służby Bożej.

Pojawiły się grupy i ruchy parafialne – spośród katechizowanych a także dorosłych, którzy wzmocnili już swoją wiarę. W Mozyrzu powstała grupa oazowa, ministranci oraz Legion Maryi, sprowadzony bezpośrednio z Irlandii, za wiedzą i błogosławieństwem Kardynała Świątka. Odbywały się kolejne kanoniczne wizytacje biskupie, w parafiach dekanatu. Podczas ich trwania były poświęcone niektóre nowe kościoły, które wyrosły w parafiach dekanatu. W Mozyrzu został rekonsekrowany, jako pierwszy w dekanacie, kościół św. Michała Archanioła. Był on jednym z jedenastu kościołów jubileuszowych na Białorusi, w Roku Jubileuszowym 2000. Do tej świątyni przybywali wierni podczas tego Jubileuszu, aby uzyskać odpust zupełny. Potem uczestniczyłem w konsekracji nowych kościołów w następujących miejscowościach powiatowych dekanatu Mozyrskiego: Lelczyce, Kalinkowicze, Homel, Petryków, Narowla, Gruszówka(wioska), Swietłogorsk. Pośród tej zadziwiającej plejady nowych, konsekrowanych świątyń, w parafiach wokół nich gromadzących się, pojawiły się powołania do kapłaństwa i życia zakonnego. W Mozyrzu – dwa męskie i jedno żeńskie, w Homlu – trzy powołania kapłańskie, w Lelczycach – jedno kapłańskie, zakonne; w Swietłogorsku – jedno kapłańskie. Nie można zapomnieć o pielgrzymkach parafian w dekanacie: do Polski, na spotkanie z Janem Pawłem II (kilka razy), Na Litwę – do Wilna, na Ukrainę – do Kijowa – także z Janem Pawłem II. Pielgrzymki na konsekrację cudownych obrazów koronami papieskimi: do Brześcia, do Łagiszyna, do Budsławia, do Grodna. Wierni udawali się na pielgrzymki związane z odpustami: do Łagiszyna, do Brześcia, do Budsławia (sanktuarium narodowe Białorusi), z Jurewicz do Mozyrza, do kościoła św. Michała, w którym znajduje się kopia obrazu MB Jurewickiej.

Wielu z tamtych ludzi odeszło już do Pana. Bezlitosna ostra kosa Czarnobyla skosiła ich przedwcześnie. Tak mogę powiedzieć, powtarzając słowa biskupa T. Kondrusiewicza, wypowiedziane podczas Mszy św. w

Mozyrzu, 12 lipca 1990 roku; zamontowany na domu towarowym w centrum Mozyrza licznik promieniowania, codziennie wyświetlał nam mieszkańcom tego miasta, ile otrzymujemy radiacji na godzinę. A godzin tych było wiele, jeśli zważyć że przebywałem tam piętnaście, z górą, lat.

W Baranowiczach byłem w latach 2006-2011 dziekanem dekanatu Baranowickiego i proboszczem Parafii Podwyższenia Krzyża; także do roku 2009 obsługiwałem parafię filialną Lesnaja odległą o 30 km od Baranowicz. Remontowałem w Baranowiczach system ogrzewczy w kościele oraz wymieniałem cały system ogrzewania w plebanii. Postawiliśmy nowy metalowy parkan przed wejściem do kościoła w Baranowiczach. Malowaliśmy ściany zewnętrzne i dach kościoła. Wymienialiśmy całe schody do kościoła. Wokół kościoła była położona nowa kostka brukowa. Wykonaliśmy kapitalny remont budynku, z przeznaczeniem na stołówkę dla bezdomnych i biednych.

Przyjmowaliśmy wizytację biskupią w Baranowiczach oraz świętowaliśmy 70-lecie kapłaństwa Kard K. Świątka, w naszej parafii, w której on był ministrantem. Dla parafii Lesnaja zostały uzyskane, u władz miasta Baranowicz, dokumenty techniczne na budynek kościoła. W obu parafiach zostały zamontowane nowe metalowe tabernakula. W obu parafiach posługiwały Siostry Dominikanki, mieszkające w domu na terenie placu kościelnego w Baranowiczach; tam też odbywała się katechizacja. Bardzo często odwiedzał naszą parafię baranowicką Kazimierz Wielikosielec, pomocniczy biskup diecezji Pińskiej; bo to była jego dawna parafia, którą wcześniej obsługiwał jako proboszcz. Z tej parafii był jeden kleryk, w seminarium u księży Sercanów. Trudnością dla proboszcza w tej pięciotysięcznej parafii, było pięć Mszy świętych w każdą niedzielę i święta nakazane. Dopiero od października 2009 kardynał przekazał parafię Lesnaja, pod opiekę duszpasterską, młodemu proboszczowi. Wówczas to w parafii baranowickiej pojawiły się bielanki, z którymi co niedziela po południu spotykał się proboszcz. Pomagały w tym dwie studentki – które organizowały bielankom zabawy. Latem z ministrantami, proboszcz jeździł samochodem w dni powszednie nad jezioro Świteź (45 minut samochodem). Bielanki miały oddzielne tam wyjazdy. Były pielgrzymki do Nowogródka: dorosłych (Legion Maryi), ministrantów i bielanek, do sanktuarium jedenastu błogosławionych nazaretanek, męczenniczek. Procesje Bożego Ciała odbywały się przy udziale trzech parafii baranowickich: naszej oraz Św. Zygmunta i MB Fatimskiej. Z naszą służbą liturgiczną i z pozostałych parafii. Pielgrzymki piesze chodziły z Baranowicz do Budsławia a także do Łagiszyna.

Przez pięć lat, systematycznie co miesiąc, pisałem, po polsku, eseje do miesięcznika DIALOG, naszej diecezji. Organizowałem co roku, w latach 2003-2011, trzydniowe rekolekcje zamknięte, dla członków aktywnych i pomocniczych, Legionu Maryi, którzy zjeżdżali się w sierpniu przed świętem Wniebowzięcia NMP. Posłałem do Kolegium Katechetycznego 7 osób z parafii. Niektórzy z nich byli dorosłymi, w sile wieku, a niektórzy studentami, z którymi spotykałem się na czwartkowych spotkaniach kręgu biblijnego, w plebanii. Jedna z absolwentek tego kolegium, kilka lat później, ukończyła studia teologiczne magisterskie w Austrii. A jeden z moich ministrantów, który w wieku dziesięciu lat, postanowił odmawiać liturgię godzin, nauczył się języka polskiego, w Klubie Polskim w Baranowiczach i obecnie jest studentem Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie.

W roku 2007 dekanat Baranowicki został podzielony na dwa dekanaty, w tym samo miasto Baranowicze. Na niedługo przed moim powrotem do Polski dowiedziałem się, że władze białoruskie zarejestrowały nową parafię, w naszym dekanacie, o co długo walczyliśmy, zwłaszcza modlitewnie. Obecnie stoi tam już w tej parafii niewielki kościół p. w. św. Jana Pawła II. W międzyczasie pojawiła się nowa, piąta parafia w tym, 180 – tysięcznym, mieście.

Nie sposób opowiedzieć wszystkiego, co się działo w obu tych dekanatach w latach 1990-2011. Za wszystko Bogu niech będą dzięki, przez Maryję.

FOTO ANDRZEJ WASILEWICZ

CHLEB PIELGRZYMI

Pielgrzym

Mnie – nie solą ni chlebem
Ani ziemskim mamidłem
Lecz w tobołek podróżny
Garść modlitwy-jałmużny
By mi droga nie zbrzydła
Między ziemią a niebem

Z tomiku «Ostatnia trąbka»:

Józef Dziekoński urodził się w roku 1948, na kresach Podlasia, w parafii Trzcianne, diec. Białystok, pozostającej w przedwojennych granicach diecezji Wileńskiej. Pracowitości i wiary uczyli go rodzice: Jan Dziekoński oraz Apolonia z Wiszowatych, herbu Awdaniec, a także wspólnie mieszkająca z nimi ciotka Felicja, która jako tercjarka franciszkańska, żyjąca w stanie bezżennym, pozostawiła mu dobry wzór życia chrześcijańskiego. Średnie wykształcenie zdobył w pamiętnym roku 1966 – roku tysiąclecia Chrztu Polski – w gimnazjum, w pobliskim miasteczku Knyszynie, któremu prawa miejskie nadał król Zygmunt August, który z Bożej woli tu zakończył swój żywot. W tym szkolnym czasie największy wpływ na niego mieli tacy nauczyciele, jak: F. Kruczała, S. Ostrowski oraz L. Bobiatyński; także kolega z klasy, K. Fiedorowicz. Po maturze przebywa w Białymstoku, pogłębiając tam wiedzę matematyczną. Pozostaje pod stałym wpływem rodziny, aż do roku 1968, gdy gościła ona Matkę Bożą Jasnogórską w kopii Jej obrazu. W tym samym jeszcze roku, który można nazwać rokiem «wydarzeń marcowych», rozpoczyna studia matematyczne w Warszawie. Tam uczęszcza na wykłady takich profesorów U. W., jak: prof. W. A. Mostowski, prof. A. Grzegorczyk, prof. H. Rasiowa. Jednoczenie bywa na wykładach polonistyki prof. J. Jakubowskiego oraz Jarosława Iwaszkiewicza. Po studiach matematycznych zostaje przyjęty na etnografię tegoż Uniwersytetu, i tam słucha wykładów słynnego archeologa śródziemnomorskiego, prof. K. Michałowskiego, odkrywcy tzw. «fresków z Faras».

Podczas studiów poznaje dzieła literatury pięknej. Homer, Szekspir, Dante, Cervantes, Corneile, Dostojewski – to tylko część



Z tomu: «Jak zdrój ożywszy.... Ognia żar»

listy «nieprzemijających» autorów. Sam próbuje sił poetyckich. Drukuje wiersze w awangardowym miesięczniku «Poezja» a w tygodniku «Literatura» – francuskie przekłady J. Preverta, rosyjskie I. Riadczenki oraz litewskie E. Mieżelajtisa. Spotyka się w teatrze «Powszechnym» z aktorem R.Mickiewiczem. Na warszawskim Mokotowie ma wieczór poezji, które czyta J. Zelnik. Recytuje publicznie wiersze C. Norwida, fascynuje go J. Słowacki. Eksperymentuje w rzeźbie i malarstwie a także bierze udział w pracach jubilerskich. Zamach na papieża poruszy go do głębi; jakby z rany papieskiej narodzi się na nowo dla Boga. Wstępuje do seminarium duchownego i przyjmuje święcenia prezbiteratu. Po krótkim wikariacie w Bolimowie i Brwinowie, będzie posłany na Białoruś do Mozyrza, w strefie skażenia Czarnobylskiego. Tam przebywa niemal szesnaście lat, pozostawiając kościoły: w Mozyrzu (odremontowany) i w Chojnikach (nowy).

W Mozyrzu prowadzi dyskusje z reżyserem K. Kremniowem i znanym tam malarzem N. Dubrawa. W tym czasie,w Warszawie, przyjaźni się poetycko z księdzem J. Twardowskim. Spotyka się z pisarzem Piotrem Wojciechowskim. Owocem tych spotkań są wydane, w poznańskim wydawnictwie «Parnas», cztery tomiki wierszy. Pracuje w Barabnowiczach w kościele pw. Podwyższenia Św. Krzyża Tutaj, tutaj w miesięczniku «Dialog» pisze eseje, przyblizajac nauczanie papieskie, dwu ostatnich pontyfikatów. W poznańskim wydawnictwie PARNAS wydał cztery pierwsze tomiki wierszy. We wstępie do jednego z nich Jan Twardowski tak mówi;»»

Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im.T.Goniewicza wydała toniki «Najjaśniesza» i «Bóg nie pisze dktoratów». BERNARDYNIUM wydało kilkanaście tomików wierszy ks.Józefa Dziekońskiego –Tomasza Wolbosa, między innymi: *Chleb pielgrzymi, Trud pielgrzymi, Światłość prawdziwa w Betlejem, Nie zejdzie chwała Twa z ust ludzi, Ognia żar, Na skrzydłach ognia Twej miłości.*

Rok Pański

Rok Pański wiele ma kolorów
Bogactwo niesie swych odcieni
Nie tylko barwę w daną porę
Lecz także pięknem dni się mieni
I choć cyklicznie się powtarza
W szczegółach jest niepowtarzalny
Nie zgadniesz tego z kalendarza...
Duch Pana – nieprzewidywalny

Z tomu: «Chleb pielgrzymi»

Zasłuchanie

Gdy słyszysz – jak gwiaździstą nocą
Jedyny słowik kląska trele
A z mocą gwiżdże kos... na wszystko...
Na łące derkacz śpiewa śmielej
Żab w stawie wodna gra kapela
Mlask szczeniąt... bo igrają z mlekiem...
To chce się słuchać... i człowieka

Wiesiołkiem

Ty mnie wiesiołkiem rozweselasz
Pokrzepiasz ciało Twą dziewanną
Różą uśmiechasz się poranną
Krwawnikiem oraz wszelkim zielem

Wieczorny pacierz

Cynobrowe słońce gaśnie
za zielonym drzewem
Wokół cisza stoi właśnie
z turkusowym niebem
Przetykanym barw smugami
z różanym woalem
Drzewa stojąc umierają
nikt nie płacze wcale
Poruszyły się nieznacznie
tylko liście klonu
Ktoś wieczorny pacierz zacznie
i skończy do zgonu
Gdy też moje serce zgaśnie
jak słońce przed chwilą
Panie – dusza niech nie zaśnie
ujrzeć chcę Twą Miłość



Zimowy zachód

Las przedwiosenny wcale goły
Jastrząb zatacza nad nim koło
Lutowym lodem staw zakuty
Mech ośnieżony gniotą buty
I blady zachód nad jodłami
Zachód i ja – my tylko sami

Odchodzi marzec

Odchodzi marzec bezpowrotnie
Ruń młodą żegna w lesie gołym
Te fiołki u mych nóg wesołe
I krzewów pęki słońce dotknie
Już pierwsze trawy – pod świerkami
Które kołyszą się na wietrze
I zdrowsze jakieś czuć powietrze
Preludium wiosny między nami

Przedwiośnie

Wpatrzony stoję w szybki potok
Próbując dociec jego źródła
Po zimie wierzba jakby schudła
W przyjaźni żyje z nim – aż dotąd
Potok mnie także chce zatrzymać
Urokiem swoim wziąć w niewolę
Mógłbym na alians ten pozwolić
Lecz mam się woli Pana trzymać
Bobrów pociąga mnie żeremie,
I harce ich na ciemnym stawie
Prócz plusków – nic nie widać prawie
Łabędzie w innym stawie drzemią
Nic więcej... miałem już nie spotkać
A z mchu – wychyla się stokrotka



Pliszka

Pliszka Bogu dziękowała
Za swe pożywienie
Swym ogonkiem się kłaniała
Z piskliwym kwileniem

Może komuś tym podpowie
Że trzeba dziękować
Choćby w szczerej mowie serca
W milczeniu... bez słowa

Mleczem żółtym

Ty mleczem żółtym się uśmiechasz
W tym kącie w którym nic nie było
Kto spojrzy teraz to aż miło
Zrobiłeś dla mnie też uciechę
Murawa nagle wystrzeliła
Że mogę patrzeć w nią bez końca
Bo jej nie skąpisz swego słońca
Chcę Ci powiedzieć: miło-miło
Za wszystko co cieszyło oczy
I za to co gdzieś tam smuciło
A zwłaszcza żeś chciał ze mną kroczyć
Mówię Ci szczerze: dobrze było

W cynobrowym świetle

Już płoną olchy nad stawami
Zalane cynobrowym słońcem
Szuwary gną się pod krzewami
Przedrzeć się przez nie niezbyt łatwo
Na grobli przelew przeskakujesz
Żeby zobaczyć co tam dalej
W krzyk ptaka nagły się wsłuchujesz
Bośmy intruzem mu się stali
Gdy się tak cicho dalej skradasz
Słyszysz jak strumień z brzozą gada
I ginie dalej w tej topieli
Ty zgłębić jej się nie ośmielisz
Las na mokradłach ciemnych ginie
(A dzięcioł stuka na jedlinie)

Zachodnie niebo

Na niebie czystym – turkusowym
Smugi różane...granatowe....
Odpoczną wkrótce nogi... głowa...
Na lepsze jutro... bo znów nowe



Do końca wieków

Krótko żyją meteory
Całe niebo rozświetlając...
Gwiazdy w swój czas umierają
Gdy przychodzi na nie pora...
Nie dożyją końca wieków....
Ty masz wiecznie żyć... człowieku

Jesienne niebo

Jesienne niebo ołowiane
Że nawet zaraz może padać...
Nie masz ochoty z nikim gadać...
Chyba że w sercu... z twoim Panem

Pełnia lata

Drzewo w słońcu rozszalałe
Tańczy z wiatrem lekkim całe
Wabi oczy suknią z liści
Dziś wygląda uroczyście....
I tak trwa ten dziwny taniec
Póki wiatr grać nie przestanie...
W gnieździe tańczą z nim też ptaki...
Karuzelę mają gratis

Przed wschodem

Przed wschodem niebo zapłonęło
Smugami ognia... i granatu...
W turkusach radość niesie światu...
To tkanie dnia się rozpoczęło

Chleb pielgrzymi

Linieją osty na poboczach
Pięknieją kwiaty w twoich oczach
Usycha okwiat dzięcieliny
Smakuje dobrze – Chleb pielgrzymi...
A wśród pątników jest Maryja
Złączona z trudną drogą...czyjąś...

Z tomu: «Trud pielgrzymi»

Jesienny zmierzch

Radujesz zmierzchem mnie wrześniowym
Z niebem tęczowo-pastelowym
Z drzewami jak tajemne cienie
Z chorałem... na dnia zakończenie



Nokturn (II)

W granatach nieba – księżyc złoty
Z ciemnymi spotkał się świerkami
Niczego więcej mi nie trzeba
Bo widok to nad widokami
Noc taka cicha i nie parno
Gwiazdy się skryły za chmurami
Kogoś zabrakło między nami
W twym sercu dziura jakaś czarna
Może to kropla melancholii
Kieruje czucie w romantyczność
A może zdarzeń okoliczność
Zapach czeremchy i magnolii
Przed sercem trudno tak... się schować
I rozum każe nie żałować

Pożegnanie

W tę chwilę słońce sięga kresu
Konary drzewa je żegnają
Promienie się odwzajemniają
Na pożegnanie dnia się śpieszą
Drzewo ma włosy rozpuszczone
Na przeogromnej swej koronie...
I jakby uścisk rąk ostatni
Jak pocałunek duszy bratniej...
Tym kluczem dzień się tak zamyka
By objąć cię ramieniem zmroku
Taka tu cisza i ten spokój...
Widzialne drzewo gdzieś umyka...
Tak też gdy życie sięgnie kresu
Niech w miłosierdziu Pan pośpieszy

Jesienny pejzaż

Znów cisza... prawie doskonała...
Stawu zielona cieszy rzęsa
Zwalonych drzew zmurszałe tramy
W dywanie liści się wałęsasz
A obok kępa brzóz u tamy
W jedlinie widok masz wspaniały
Konary wiszą wpół zwalone
Pnie osikowe wywrócone
W krzewach trwa powój zasuszona
Słotami mocno brązowiona
A wedle stawu – stara grobla
Po zmierzchu rosa jej pokryje
I ślady tego dnia obmyje



Biała cisza

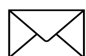
Jak śnieg opadał kwiat wiśniowy
Z kasztanów prószył i z akacji
Nadchodzi wolno czas wakacji
I kwiat lipowy muskał głowy
Niebo przegląda się w tym stawie
Zatapia w wodzie drzew konary
O zmierzchu kładą się opary
Ciepło że można pływać prawie
W tej tak spokojnej białej ciszy
Gdzieś w dali głos kukułki słyszę

Wiosenna cisza

Zachwycić może rój motyli
Zmieszany z białym kwiatem w sadzie
W południe cisza znów się kładzie
Czar się zatrzymał tamtej chwili
A w nefrytowym mchu sasanka
Gdy po ostatnim wzeszła śniegu...
W ostępie leśnym tego ranka
Zatrzymać może tych kto w biegu
Po zimie las ten jeszcze senny
Wiatrem przeciąga się... wiosennym
Kukułki pierwszej...nikt nie słyszy...
Bo Pan przemawia w takiej ciszy

FOTO ANDRZEJ WASILEWICZ





SREBRNY ORZEŁ DLA GENERAŁA





Obraz w postaci polskiego orła ze srebrnych gwoździ, należący prawdopodobnie do gen. Władysława Andersa, przechowuje się w muzeum II Korpusu Polskiego w Pruszkowie.

Jak opowiedział dyrektor muzeum p. Mariusz Niedzielski, niezwykły obraz miał być wykonany dla generała przez jego żołnierzy i wisiał w mieszkaniu służbowym Andersa w Baranowiczach aż do września 1939 roku, a potem został ukryty przez jego gospodynię wraz z jego osobistymi dokumentami. Po wojnie kobieta przedostała się do Lwowa. A w 1973 roku potajemnie przekazała obraz swej siostrze zamieszkałej w Polsce. Do niedawnego czasu artefakt był ukryty w jej domu w Tychach.

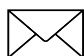
«Obraz jest bardzo ciekawy – mówi dyrektor – wykonany ze srebrnych gwoździ sztandarowych. Na jednym z gwoździ jest wybite imię Stanisława Ciuchińskiego, prezydenta Lwowa. A przecież on zmarł jeszcze w 1913 roku! Jest też sporo gwoździ organizacji Sokół. Według mnie, orzeł powstawał stopniowo. Najstarsze emblematy pochodzą ze Lwowa, zaś najmłodsze z Zakopanego.

Tak czy inaczej znalezisko ma na razie więcej pytań niż odpowiedzi. Niestety, nie ma żywych świadków, którzy na swoje oczy widzieli obraz w mieszkaniu Andersa. Według bliskich gospodyni, wraz z orłem miały być jeszcze dokumenty szkolne generała, które obecnie przepadły.

Jak wiadomo, Władysław Anders był dowódcą Nowogródzkiej Brygady Kawalerii w latach 1937 – 1939. W skład jednostki wchodziły 25, 26, 27 pułki ułanów oraz 9 dywizjon artylerii konnej. Sztab brygady mieścił się w Baranowiczach w koszarach im. T. Kościuszki (budynek zachował się do dnia dzisiejszego). Nowogródzka Brygada Kawalerii została przerzucona na zachód Polski w marcu 1939 roku podczas tzw. mobiłazacji częściowej. Wtedy też Władysław Anders opuścił Baranowicze.

Stanisław Somborski





OBYCZAJE ŚLUBNE MIESZKAŃCÓW NOWEJ MYSZY

Nowa Mysz od wieków była miasteczkiem wielokulturowym, choć większą część mieszkańców zawsze stanowili Polacy i katolicy. Można tu było usłyszeć polską, białoruską oraz żydowską mowę.

Niniejszy artykuł jest poświęcony ślubnym obyczajom mieszkańców Nowej Myszy i okolic w okresie międzywojennym. Dane zebrałem kilka lat temu podczas ekspedycji etnograficznej. Spotykałem się z najstarszymi mieszkańcami Nowej Myszy, którzy opowiadali , jak wyglądały obrzędy ślubne w czasach młodości ich rodziców. Dzięki temu możemy dowiedzieć się, jak nasi przodkowie przygotowywali się do jednego z najważniejszych wydarzeń w życiu.

Swatanie

Kiedy swatali dziewczynę, robili to w taki sposób, by swat był «z językiem» czyli mogący ładnie prowadzić rozmowę. Jeżeli dziewczynie nie podobał się chłopiec, swat powinien był ją przekonać. Niektórzy byli swatami kilkakrotnie, jednak żadnych pieniędzy za swoją pracę nie brali. Na swata zazwyczaj brali wujka albo starszego brata. Ani dziewczynie ani jej rodzicom nigdy nie mówiono, że przyjdą do nich swatać. Bardzo często dziewczyna kochała jednego chłopaka, lecz wychodziła za innego, bo jej rodzice wybierali bogatszego narzeczonego.

Swatowie wchodząc do chaty witali się po chrześcijańsku: « Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus», a gospodarze odpowiadali: «Na wieki wieków. Amen.»

Swat zaczynał rozmowę od różnych żartów lub powiedzonek: «Czy stół jest nakryty? Bo swata przysłano». Potem stawiał na stół butelkę wódki. Gospodyni przynosiła przekąski. Latem to były ogórki, pomidory, jajka, słonina i kiełbasy.



Kiedy wszystko było gotowe, swatów zapraszano do stołu i kontynuowano rozmowę. Swat mówił: «Doszliśmy do tego kwiatu, co kwitnie w okresie zimowym i letnim» lub «Przyszliśmy po ten kwiatek. Trzeba go przeszczepić do innego ogródka».

Dziewczyna powinna była umieć tkać, piec chleb, doić krowę. Oczywiście, nie każda mogła to robić, ale większość matek wychowywała swoje córki na dobre gospodynie.

Gdy chłopiec nie podobał się dziewczynie, ona próbowała nie zgadzać się na małżeństwo, a swat, wręcz przeciwnie, starał się ją przekonać. Czasem dziewczyna nie zgadzała się na ślub i wtedy rodzice oddawali ją na siłę. Gdy w chacie była starsza siostra, rodzice mogli odpowiedzieć swatom, że młodszą nie oddadzą i proponowali oddać starszą.

Zdarzało się, że wieniec zamiast młodszej nakładali starszej córce, albo zamiast pięknej – garbatej albo inwalidce. Rodzice narzeczonej spodziewali się, że kiedy chłopiec wszystkiego się dowie, to namówią go, obiecując dobry posag. Jednak najczęściej rodzice narzeczonej przestrzegali reguły i oddawali tę córkę, ktorą swatano.

Gdy narzeczona zgadzała się na ślub to przychodzili do niej później rodzice narzeczonego, by wyznaczyć termin.

Ślub najczęściej odbywał się w okresie od Trzech Króli do Wielkiego Postu lub po Niedzieli Przebaczenia do postu przed kolędowaniem.

Przygotowanie do ślubu

Przygotowując się do ślubu, miesiąc przed terminem, a nawet wcześniej zapraszano na wesele przyjaciół i koleżanki. Robiono to nie tylko dlatego, by zabawiali gości, lecz również po to, by pomagali narzeczonemu i narzeczonej.

Na przykład, w tych latach jeżdżono konno, więc chłopcom trzeba było przygotować do ślubu powozy (latem) lub sanie (zimą) i konie. Koniom na szyje wieszano dzwoneczki nazywane janczarami, więc wesele zawsze było słychać daleko. Latem konie upiększano zielonymi gałązkami, przywiązywano kokardy albo wstążki do całego zaprzęgu.

Dziewczyny powinne były przynieść narzeczonej pierze na poduszkę.





Bochenek

Wieczorem przed ślubem, zwykle w piątek, pieczono «bochenek». W tym celu zapraszano «karawajnice» (zwykle więcej niż sześć osób). Jedna z nich pilnowala pracę innych. Wkrótce po północy ojciec albo zamożny brat narzeczonej wnosili do chaty brzozowe (rzadziej klonowe) drzewo i rozpalali w piecu ogień, a «karawajnice» zaczynały «rozczyniać» bochenek. Stół lub ławkę nakrywały kożuchem stawiąc na niego dzieżę z ciastem. Ciasto zagniatała jedna z «karawajnic», a inne pomagały jej: podsypywały mąkę, dodawały pewne produkty, których nie starczało, mówiąc : « Daj Boże nam ciasta pełną dzieżę». «Bochenek» zdobiono papierowymi kwiatami lub ptakami.

W przypadku, gdy bochenek był wilgotny, ludzie uważali, że ślub nie będzie udany. Dlatego «karawajnice» starały się, by bochenek zawsze był dobrze upieczony. Narzeczony powienien był wykupić bochenek u «karawajnic».

Podczas wesela bochenek wynoszono na wezwanie swata: «Czy są w chacie ojciec, matka? Niech bochenek spadnie!». «Bóg zezwoli» – odpowiadali rodzice. Bochenek stawiano na środek stołu i częstowano wszystkich według starszeństwa.

Przed ślubem

Rodzice narzeczonych czy swat, »»»







»»» kiedy swatował, powinni byli omówić posag. Zazwyczaj do posagu dawano krowę, cielę, owcę, świnię, owce albo działkę gruntu.

Kiedy narzeczonego oddawano do ślubu, na stole w chacie stawiano krzyżyk oraz zapalano dwie świece gromniczne. Na stole także powinny były być butelka wódki, chleb, sól i trochę przekąsek na talerzu. Narzeczony musiał przyklęknąć na obrusie. Rodzice modlili się i błogosławili narzeczonego. W domu przy tym byli nie tylko zaproszeni na ślub, ale też sąsiedzi oraz ci, którzy chcieli zobaczyć pożegnanie narzeczonego z rodzicami. Następnie zapalano jeszcze jedną świecę gromniczną. Matka chrzestna czy ktoś z obecnych mówili następujące słowa: «Prosimy Boga Najwyższego, ojca, matkę, sąsiadów, przyjaciół, narzeczonego obciąć». Ludzie trzykrotnie odpowiadali: «Boże, błogosław». Wtedy matka chrzestna trzykrotnie obnosiła świeczkę wokół głowy narzeczonego podpalając trochę jego włosy ze wszystkich stron i gasiła świecę. Potem znowu trzeba było powiedzieć: «Prosimy Boga Najwyższego, ojca, matkę, obecnych, narzeczonego oddać do ślubu». Goście wtedy znowu odpowiadali: «Boże, błogosław».

W domu narzeczonej odbywał się taki sam obrzęd, jak u narzeczonego: zapalano świece, obcinano narzeczonej włosy i modlono się. Kiedy narzeczona podnosiła się, by się pożegnać z rodzicami, dziewczyny wychwytywały spod jej kolan obrus i próbowały rzucić za drzwi. Chłopcy, gdy chwytali obrus, rzucali go za piec. Wierzono, że kiedy obrus był rzucony za dzwi, dziewczyny powinne były szybko wyjść za mąż, kiedy za piec – siedzieć jeszcze w domu.

Rano do narzeczonej przychodziły dziewczyny, żeby ją ubrać, nakręcić włosy, ozdobić sukienkę. Narzeczonego, gdy przyjeżdżał, nie wpuszczano do domu narzeczonej. Czekał na ganku, a dziewczyny go pilnowały, by nie wszedł. Starszy kolega przyczepiał kolorowe wstążki narzeczonemu, swatowi, szwagrowi, szwagierce. Szwagrowie brali narzeczoną pod ręce, a starsza szwagierka oraz koledzy brali pod ręce narzeczonego i prowadzili ich do powozu, by jechać do kościoła.

Potem zaczynało się wesele. Na pierwszy dzień goście siadali do stołu dwa razy, na następny zaś dzień dzielili «bochenek». Śpiewano przy tym pieśni weselne, tańczono. W międzywojniu w modzie były tango, krakowiak, kadryl. Dziewczyny wymyślały różne gry i konkursy.

Należy zwrócić uwagę na to, że ludzie mieli poważne podejście do swoich obowiązków przed i podczas ślubu. Być swatem albo pomagać narzeczonej lub narzeczonemu było wielkim zaszczytem. Ślub, zawarty w kościele nie można było rozerwać, dlatego rozwody w tym okresie były bardzo rzadkie.

Przygotował
Stanisław Somborski
Zdjęcia ze zbiorów
mieszkanców Nowej Myszy



Pomnik Tadeusza Kościuszki w Kobryniu,

Kobryń 1941 rok

Na początku 1930 roku pomnik Tadeusza Kościuszki był odsłonięty w Kobryniu w miejscu pomnika ku czci 100. Rocznicy zwycięstwa Rosji w wojnie 1812 roku, który został znicszczony podczas pierwszej wojny światowej przez wojska niemieckie. Autorką pomnika była miejscowa artystka Balbina Świcicz-Widacka

